

PLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 31 STYCZNIA 1931 ROKU

NR. 5

TREŚĆ NUMERU: Nasze córki — *Janina Strzelecka*. Poezje: „Z dnia na dzień” — *M. Czerkawska*. Niema powrotu (nowela) c. d. — *Kazimiera Mazurkova*. W paryskiej Sofjówce — *Aura Wyleżyńska*. Andrea del Sarto — *Stefanja Podhorska-Okolów*. W słońcu — *Emilja Szenwicowa*. Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Najmłodsze asy kobiece. Nasza Mównica. Falsz i szczerłość w życiu towarzyskiem — *Jadwiga Kiemnarska*. Śluby i przyjęcia weselne — *Wanda Dobrzańska*. Obwarzanki a higjena — *Angelo*. Lęgi drobiu. Nakrywanie i podawanie do stołu — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Do jakiego pójść kina w stolicy. Kolorowy dodatek „Mody i roboty”: Szlafroczyki, pyjamy i wogóle — *Well*. Arkusz wzorów.

NASZE CÓRKI

Są całkiem inne, aniżeli my, kiedy byłyśmy w ich wieku. Pod jakim względem? W jakim sensie? Ujemnym, czy dodatnim? Mnóstwo precyzyjnych pytań ciśnie się na usta. Odpowiedziałabym na nie krótkim orzeczeniem: „są wogóle inne”, ze specjalnym naciskiem na „wogóle”. No, bo jakże ustalić, czy rezultaty zmiany, która się dokonała, są właśnie ujemne w porównaniu ze status quo ante, t. zn. z naszymi walorami, jako córek z onego czasu?

Zacznę niniejsze rozważania od próby zdefiniowania stosunku dawnych i dzisiejszych córek do najbliższego otoczenia, oraz do życia, do całego szeregu spraw, zagadnień, t. zw. zasad, tradycji etc. — no, i przede wszystkim od zmiany stosunku rodziny do t. zw. córki.

Co było podstawą tego stosunku, co było jego pierwszoplanowością i istotą rzeczy? Stała i nieustająca degradacja dziewczyny w porównaniu z chłopcem, co wyrażało się w twierdzeniu niezbitym, niedopuszczającym dyskusji: „Światem dla kobiety jest dom, domem dla mężczyzny jest świat”.

Jakże niedawnymi są czasy, czasy naszych matek, a i wielu nas samych, co mogłyśmy dobrze stwierdzić na sobie konsekwencje tego aksjomatu! Strzeżone, pilnowane, miały te dawne córki ściśle zakreślona linię horyzontu, ani mniej, ani więcej, tyle tylko, ile trzeba, aby wyjść zamaż, a potem na obraz i podobieństwo własne córki umieć wychowywać.

Miało się wrażenie, że jedynym przeznaczeniem kobiety jest wyjść „za ten mąż”, że wogóle jest ona „kimś” tylko w znaczeniu swej pożyteczności dla mężczyzny,

że jest czemś znacznie niższem i mniej doskonałem. Stosownie do tego sprawa wykształcenia kobiety była sprawą smutnej konieczności tylko, podczas gdy chłopca, czasem lenia i nieponia, przepychano z trudem i protekcją z klasy do klasy. Dziewczyna mogła być genialnie zdolna, ale gdy trzeba było w razie kłopotów finansowych wybierać, na kogo się zrujnować, no, to oczywiście nie było wahania, ani wątpliwości. Ogół córek godził się z losem, a „Szalone Julki” należały do wyjątków, tak samo, jak cierpienia i dramaty dawnych emancypantek.

Atrybutami pojęcia córki, jak wogóle kobiety, były: uległość, poświęcenie, anielska cierpliwość i wyrozumiałość, która powinna była sięgać do takich granic samozaparcia, jak to widzimy w niektórych powieściach Balzac’a (stara margrabina w romansie „Kuzynek Pons”, czy matka w „Kawalerskim gospodarstwie”).

Wszystkie te żony w charakterze dzielnych towarzyszek, mądrych i świątłych doradczyń należały do wyjątków i nie na takie sposobiono zazwyczaj swe córki. Dziś, jakże trudno uzmysłwić sobie zmianę, która zaszła we wszystkich tych sprawach, jak wogóle wymówić to zdanie: „wychowywać dziewczynę dla przyszłego męża”, „ograniczać jej żądzę nauki”, „zamykać świat przed nią”!

Niechby tak ktoś spróbował przekonać dzisiejszą córkę o słuszności aforyzmu, że „światem dla kobiety jest dom, a domem dla mężczyzny jest świat”! Mają nasze córki szeroko oczy na ten świat otwarte! Ileż z nich odbywa w wyobraźni podniebny lot nad

Atlantykiem, przebywa kanał La Manche, wieńczy skronie laurem olimpijskim, dokonywa wspaniałych odkryć naukowych, które, jak rad, mogłyby nieść ulgę nieszczęsnej ludzkości, zdobywa nagrodę Nobla za arcydzieło powieściowe, bierze nagrodę na konkursie rzeźbiarskim na pomnik bohatera, obrazy wystawia w salonie paryskim!

To są marzenia o rekordach we wszystkich dziedzinach życia. A stosunek do dnia powszedniego? Do jego celów? Tylko zamążpójście? Ach, owszem, ale nie wyłącznie i jedynie. Na pierwszym planie stoi praca zawodowa, przygotowanie do bytu samodzielnego. Fakt powyższy — to bynajmniej nie rezultat samego równouprawnienia, ale żelaznego prawa ekonomicznego, konsekwencja olbrzymiej zmiany, jaka dokonała się w dzisiejszym ustroju społecznym i gospodarczym. Toteż zmienił się niemal zasadniczo stosunek 1) najbliższego otoczenia do dziewczyny, 2) stosunek jej do faktu zamążpójścia, 3) stosunek do całokształtu zadań życiowych.

Córki nasze mają dziś, w porównaniu z dniem wczorajszym, olbrzymią swobodę ruchów. Zbiórki harcerskie, szkolne przedstawienia w teatrach, zebrań samopomocy, trening na boisku, „tańcówki“. Któżby myślał o tem, aby tak, jak dawniej, koniecznie towarzyszyć córce w tych wszystkich okazjach.

Któż z nas nie pamięta tradycyjnych lekcji tańca, z mamami na straży? Dziś? Wszystkie prawie studentki chodzą na koleżeńskie zabawy same, albo co najwyżej w towarzystwie braci, czy poprostu kolegów. I jakże inny jest ten stosunek do „chłopca“, niż dawniej!

Dawniej... onieśmienie, spuszczone oczy, „pieczenie raków“ przy spotkaniu na ślizgawce, bo to była bodaj jedyna dostępna dziedzina wyczynów sportowych.

Dziś? Wspólny trening, rywalizacja na szeroka skalę, rywalizacja wszędzie: na stadjonie, czy w seminarjum uniwersyteckim, na meczu, czy na zebraniu międzyszkolnym.

Ona słaba, „wątku“, potrzebująca kiedyś silnego ramienia męża, wychowywana od najmłodszych lat w przeświadczeniu o supremacji mężczyzny pod każdym względem? Broń Boże! To już nietylko amerykanki „biją“ go na każdym polu: nasze polskie dziewczęta zaczynają to robić całkiem dobrze. Poďteście do chłopca dokonywa się w całkowitem przeświadczeniu o wzajemnej równości. Zmienił się też stosunek do zamążpójścia, jako do portu, zabezpieczającego przed staropanieństwem i przed troskami materialnymi. Zmienił się radykalnie. I znowu wpłynęły na to zmienione do gruntu warunki życia.

Któraż to dziewczyna (chyba, że robi t. zw. „świetną partję“) ludzi się, że po zamążpójściu porzuci swoją pracę zawodową? Przecież, naogół biorąc, widzi od lat najmłodszych, że oboje rodzice pracują. Któraż z inteligentnych córek dzisiejszych pozwala się, tak jak ongi, „wydawać“ zamąż? Która

wreszcie bieleje z przerażenia na myśl o staropanieństwie? zresztą pojęcie to w znaczeniu dawnem, jako coś śmiesznego, bolesnego, godnego litości, jest nie do pomyślenia. Obalił ten przesąd w jednej ze swych komedij Bernard Shaw.

Nasze córki jeszcze i tem od dawnych się różnią, że nie mają tyle, co my, czasu na marzenia. Stosunek ich do romantyzmu jest całkiem inny. My wychowywałyśmy się na drugiej części „Dziadów“ i na „W Szwajcarji“, „Cierpieniach młodego Wertera“, ach, i zwłaszcza na ubóstwiającym potęgę miłości „na śmierć i życie“ Żeromskim; my marzyłyśmy przecież wszystkie o „prince charming“. One? One zaczynają się zupełnie w czem innym, są znacznie bardziej trzeźwe i praktyczne w stosunku do życia; literatura romantyczna nuży je, jest dla nich prawie niezrozumiała. Wolą sport, kino, no, i romans sensacyjno-erotyczny, czy sensacyjno-kryminalny. Marzenia o księciu z bajki? Poco? Raczej znakomity rekordzista, czy aktor filmowy.

A wogóle znacznie mniej marzą, i znacznie lepiej, niż my kiedyś, rozumieją pojęcie „kalkulacji życiowej“.

Jakże się ustosunkowują do ideałów społecznych, czy patrijotycznych? Szkołą się w pracy społecznej b. systematycznie w różnego typu samorządach szkolnych, akcjach samopomocy; kształcą uczucia patrijotyczne w harcerstwie i tylu innych organizacjach, nie mówiąc o wpływie szkoły, czy niekiedy domu; toteż sprawy te są dla naszych córek czemś naturalnem. Nie przeżywają ani cienia tych emocyj, co my, dla których już same słowa „społeczny“, „patrijotyczny“ — kojarzyły się z pojęciem rewizji, śledztwa, więzienia etc.

Córki dzisiejsze nie mają żadnej okazji, ani potrzeby, aby na codzień być bohaterkami, na wzór dawniejszego pokolenia, dla którego element bohaterstwa był częścią składową pracy i życia. Pojęcie bohaterstwa jest dla nich czemś odświętnem, czemś, co może być, albo nie być, zależnie od potrzeby chwili.

Stąd też płynie to wielkie niezrozumienie dzisiejszej młodzieży, zarówno synów, jak córek, ze strony starszych. Ileż pretensyj o to, że nie rozumieją Mickiewicza, czy Wyspiańskiego; ile pretensyj o ten ich realizm i praktyczność życiową, o wszystko — o kino, sport, książkę... Ile razy zarzuca się naszym córkom brak idealizmu, przyziemność upodobań; ileż razy pomowia się je o... „zepsucie“ i t. d.

Owi starsi nie zdają sobie zupełnie sprawy, że warunki dzisiejsze są biegunowo odmienne od dawniejszych; biorą zresztą czysto zewnętrzne objawy za istotę rzeczy. To, co ich razi w dzisiejszej młodzieży, to jest tylko skorupa, pod którą napewno tli się w młodych duszach płomień czystego idealizmu. Czyżby najcudniejszym, widomym dowodem tego faktu nie były orlęta lwowskie? A zresztą, czyż mamy winić nasze córki, że zmieniona atmosfera życia rodzinnego musi się na nich odbijać? Przecież to wszystko,

o czym dawniej mówiono pocichu, mówi się i śpiewa dziś głośno przez megafon, radjo etc. To, przed czym dawniej wstydliwie spuszczano oczy, jest treścią jaskrawej, bajecznie kolorowej reklamy filmowej, reklamy, bijącej w oczy na każdym kroku, wszędzie, na każdym miejscu.

Jakże tę młodzież ochronić od patrzenia i słyszenia? Ależ koleżanka kształci się na „girl“ w szkole tanecznej, podczas przerwy w lekcjach wszystkie śpiewają „nasza jest noc“, a w sobotę najbliższą wybierają się na „Niebezpieczny romans“, bo to dla młodzieży... niedozwolone (notabene fotografie najdrastyczniejszych scen wywieszane na olbrzymiej tablicy reklamowej, i, kto chce, może to oglądać).

Ja jednak twierdzę stanowczo, że nasze córki nie są gorsze, niż te dawniejsze. Są inne, bo inne jest ich życie i życie wogóle. Są może nawet... zdrowsze moralnie, bo szersze, a już napewno zdrowsze fizycznie. Patrzą o wiele śmielej życiu w oczy, są o całe niebo samodzielniejsze, nie mają w sobie tego wiecznego cierpiętnictwa — cechy ludzi wczorajszych. Dążą do osiągnięcia maximum radości i przyjemności, jakie daje życie, ale dlaczegoż to potępiać? Są mniej skom-

plikowane, bardziej prostolinijne. Wzmoczone przez uprawianie sportów poczucie fizycznej istoty powoduje zubożenie życia duchowego, ale czyż to znowu ich wina, a nie starszych, którzy przez oderwanie szkoły od życia, przez abstrakcję i scholastycezm programów budzą w młodzieży reakcję, głos instynktu samozachowawczego na korzyść „fizyczności“, że tak powiem.

I niema powodu do rozpacz. Trzeba być optymistą w stosunku do przyszłych Curie, czy Undset. Nie oburzać się i nie dziwić, ale na siebie, „starszych“, okiem krytycznym spojrzeć. Nie można od młodych żądać, Bóg wie, czego, jeśli samemu idzie się po linii najmniejszego oporu, a po tej drodze kroczy dziś, niestety, ogół społeczeństwa.

Krytyka obija się o uszy naszych córek, nie dochodzi niekiedy do ich świadomości. Niema im co opowiadać o „dawnych, lepszych“ czasach. To ich nie wzrusza — raczej niecierpliwi. Nie przez gromy oburzenia, ironję i złośliwe zdziwienie, ale przez zrozumienie, życzliwe ustosunkowanie i koleżeński stosunek — można zyskać zaufanie, a wtedy dałoby się wiele jaskrawości przytłumić, wiele naleciałości usunąć.

Janina Strzelecka.

M. CZERKAWSKA

Z DNIA NA DZIEŃ

*Najpierw zwiędły storczyki —
pewnie im brakło wody...
Balowe pantofelki,
bezcenne tualety
wyblakły, wyszły z mody.
Potem zaczęły szarzyć
zwykłe suknie codzienne —
przystały być „do twarzy“,
zniszczone nieodmiennie.
Zgryzły szczury zjadliwe
śliczne meble mieszkania...
Świt zimnym fioletem
codzienną pustkę odślaniał.
Rozlazły się trzewiki*

*w pędzie za nieuchrytnem —
szorstką płamą się stało,
co było aksamitnem.
Na nic się zdał trud rozselki,
starania miękkie, tkliwe...
zniszczenia ciągnąc kresę,
pryskały szroy nieżyroe.
Za igłą rwał się deseń,
cer martwa zwiśla krata —
aż rokońcu popękała
i nitka i osnowa —
— — — — —
Nie było czego łątać —
nie było co cerować.*



NIEMA POWROTU

(N o w e l a)

3)

To — wszystko. Czemu wobec tego jest Zygmunt ze swojemi chimerami? Któż może odedrzeć ją od tej najmilszej główki? I czy jest dość wielka ofiara, któraby była godna okupić ten stopień doskonałej szczęśliwości?

— Mamo! — mówi Jurek: — Te ciastka z migdałami są dobre, ale, wiesz, pani Teresa zrobiła raz lepsze... Więcej było migdałów.

Bez jednej myśli, pełna błogości, pani Necia odmrukuje:

— Uhm!...

— I wiesz, Muśka, ja tyle zjadłem! Może ze sto! No, nie... ale ze sześć. A tatuś cały czas mówił, że ty nigdy nie potrafiłaś takich. Naprawdę nie potrafisz?...

Pani Aniela powoli się budzi. Szuka leniwie w pamięci pogubionych już słów, które przed chwilą obły się o jej uszy. Mechanicznie powtarza:

— Nie potrafiłam nigdy...

Nagle wyprostowuje się i pyta sucho:

— Pani Teresa... to kto?

— To jest taka pani. Przychodzi do nas.

— Często?

— Bardzo często! Prawie codziennie. Przynosi mi różne różności: zabawki, książki... i wogóle. Ona wie, że ja nie lubię maszyn, więc daje mi zwierzątka. Chcesz? Pokażę ci kota, co sam piszczy, jak mu nacisnąć policzki. Tatuś mówi — dodaje ciszej — że jestem już duży i trzeba mądrzej się bawić... Ale ona wie, jak ja lubię. Bawimy się w menażerję, albo w stajnię. Książkę mam od niej jedną, pełno tam obrazków, same dzikie zwierzęta i indjanie. Muśka, chodź! Pokażę ci wszystko!

Jurek zsuwa się z kolan pani Anieli i ciągnie ją za rękę. Ale ona przytrzymuje go silnie dłonią, uparcie zaciśniętą, i pyta poważnie:

— Ta pani Teresa... czy młoda?

— E, nie! — mówi lekceważąco Jurek: — Już stara... jak ty. No, chodź!

— Poczekaj chwileczkę, Jurku... A jak ona tu przychodzi, to lubisz... kochasz ją?

— Kocham, naturalnie! Bardzo dobra! I przynosi mi wszystko, wszyściuteńko, co tylko zechce! I ciastka piecze bardzo często. Zresztą, tatuś ją lubi.

— Ale ty, Jureczku? Tatuś, to nie! Ale ty? Na przykład... więcej kochasz ją, niż Muśkę? — nalega pani Aniela zduszonym głosem.

Jurek się niecierpliwi.

— Naturalnie! Przecie rozumiesz: ona jest prawie codziennie, lekcje ze mną robi, na spacer chodzi. Jak co podrę, to zaceruje w sekrecie przed tatusiem, bo panna Michasia zawsze wypaple i mam burę. No, więc... rozumiesz?...

Chłopiec ciągnie z całej siły panią Anielę, cały oddany pragnieniu pokazania zabawek, ale nie może poruszyć matki z miejsca. Ścisła jego dłoń kurczowo i patrzy na niego, przetykając raz po raz ślinę, jakby ją bolało gardło.

— Musiu... pójdziemy? — łasi się chłopczyk, któremu śpieszno do zabawy.

Chude, małe ręce przytulają go nagle do piersi i znów ten uścisk, co przerywa oddech i tak niewygodnie zawieszca ciało...

— Ale mnie... kochasz?

— No, jakże! Naturalnie, kocham! I ciebie, i panią Teresę, i tatusia, i Zośkę. Ja wszystkich ko-

cham. Trzeba. Prawda? — pyta przymilnie Jurek: — A teraz już chodź!...

— Nie... Jeszcze poczekaj. A gdyby... — pani Aniela dobiera słów: — gdyby ktoś musiał odjechać... Ktoś... ta pani Teresa, albo ja... to ty wolałbyś, żeby kto został?

Jurek ze zdziwieniem patrzy na matkę:

— Przecież ty i tak wyjedziesz! No nie, Muśka?

A pani Teresa będzie przychodzić, jak codziennie. Ja przecież ciebie kocham! Ale ona... ona wie, bawi się! Ja nie lepiej ją, ale...

Jurek się splątał. Jak pogodzić oczywistą, jasną prawdę z wycuciem małego serduszka? Jakiemi słowami wypowiedzieć to, co jest, aby nie było w oczach Muśki tego strasznego, niepojętego bólu?...

Zarzuca szczupłe ramiona na jej szyję i całuje płonąca twarz, jasne włosy i prześmętne oczy. Tuli się, łasi, jak kociak. Ale pani Aniela nie traci nic z kamiennego spokoju. Siedzi odrętwiała, zwiesiwszy bezwładnie obie ręce. Tak strasznie pragnęła, aby ją uściskał! Tak czekała na tę chwilę! A teraz nie może się nią cieszyć — nie czuje prawie dziecięcych pocałunków.

Myśli cisną się chaotycznie, napływają ze wszech stron natrętne, coraz to nowe.

Zygmunt? Tak, prawda: gwałtowny, szorstki, dziwacznie wymagający. Czasem brutalny... Nigdy — wyrozumiały. Ale to nic. To głupstwo. Posada — również. I tu się przecie o jaką pracę zaczepi! Tamto mieszkanie zlikwiduje, meble sprzeda, wróci. Zygmunt, w gruncie rzeczy, nie jest wcale zły, jest tylko nieznośny. Ale to szczegół.

Tręś jest jedna: aby Jurek nie przestał jej kochać. Nigdy! Ani na żdźbło! Nie będzie się dzieliła ani odrobiną jego uczucia z Michasiami i Teresami!...

Powie Zygmuntowi, że wróciła do nich na stałe. On się ucieszy... Kochał ją! Nie chciał, by odeszła! Błagał! Teraz mu wynagrodzi dobrocią i pracą te dwa lata samotności. Z uśmiechem zastosuje się do wszystkich jego wymagań, dziwactwa nawet będą dla niej prawem. Byle Jurek ją kochał.

Byle się nie zmarnowała dla niej ani jedna minutka jego obecności, jego niewysłowionego czaru! Nie dla pani Teresy go rodziła! Nie dla niej go hodowała, niańczyła, a wreszcie nosiła w sercu przez dwa długie, okrutne lata!... Ze skryzalizowanym postanowieniem wstała z krzesła i zapytała po raz drugi:

— Gdzie jest tatuś?

— A prawda! Gdzie tatuś? — zakłopotał się Jurek: — Aha, już wiem. Tatuś powiedział, że Muśka będzie chciała nacieszyć się mną, więc, żeby nie przeszkadzać, wyszedł z domu. Panna Michasia też, tylko Zośka jest w kuchni. Ale tatuś obiecał, że na kolację wróci i przyniesie ciastek do herbaty. No, bo nie mógł przeczuć, że ty przywieziesz. Nieprawda? — dodał poufnie.

— Tak! — roześmiała się pani Necia. Było jej lekko od powziętej decyzji i wesoło z radości. Rozczułała ją i zawstydziała delikatność Zygmunta, który pół dnia przesiedział w cukierni, aby nie mącić swoją obecnością uroczystego jej powitania z synem.

— Zato na wstępie powiem mu dobrą nowinę! — postanowiła ze skruchą.

III.

Pani Necia ułożyła Jurka spać. Myła go porządnie, bo kto wie, jak „one“ dbać mogą o jego uszy, mimo, że teraz jednak były czyste.

— Myjesz ząbki codziennie? — pytała.

— Jeszcze jak! — chwalił się Jurek: — Pani Terenia kupiła mi mały Chlorodonic — o, patrz. A ta szczoneczka od tatusia!

Potem pacierz.

— Mówisz „Wierzę w Boga“? A modlitwę do Anioła Stróża?

Badala surowo, pewna, że wszystko jest zbywa-
nie byle jak bez jej doglądu.

Ale Jurek umiał dobrze pacierz, mył zęby i zda-
wało się, że nic mu nie brakuje.

Całowała długo jego okrągły i gładki policzek, zanim zdołała się oderwać od tej najmilszej pieszczoty. Gdy już leżał, otulony kołdrą, podziwiała wielkość jego oczu i śliczny nieład włosów na poduszce.

— Dobranoc, Juruś! — mówiła sto razy.

— Dobranoc... — odpowiadał sennie.

Wreszcie wyszła. W jadalnym paliła się jasna lampa. Zośka nakryła do kolacji, ale Zygmunta jeszcze nie było. Usiadła na swoim dawnym miejscu. Z pewnym zadowoleniem stwierdziła, że porcelana i srebro utrzymane są we wzorowym porządku, a serwetki robiły wrażenie niezwykle starannie upranych.

— Michasia, to jednak niezły nabytek! — pomyślała przelotnie.

Projekt pozostania na zawsze zakorzenił się w niej podświadomie. Już wzrokiem gospodyni sprawdzała szczegóły nakrycia.

Spojrzała na zegar.

— Zygmunt coś marudzi! — zauważyła: — Czy też Jurek usnął?

Cicho otworzyła drzwi do dziecinnego. Na nocnej szafce paliła się mała różowa lampka i światło jej padało zukosa na głowę Jurka; leżącą spokojnie w zagłębieniu miękkiej poduszki.

Spał z wpełotwartymi usteczkami; nawet ząbki widać mu było trochę. Rozburzona czupryna leżała wokół twarzy, jak aureola na świętym obrazku. Musiał już zdążyć obrócić się na drugi bok, bo policzek miał zaczerwieniony, a przez środek znać było odbitą koronkę od jaśka. Teraz jasiak osunął się na bok, a miejsce jego zajmowała rączka. Już nie miał na niej takich doleczków, jak przed dwoma laty... Długie rzęsy podwinęły się ku górze, a w bielusińskiej szyjce pulsowało życie spokojnym, wyraźnym ruchem.

Nieprzemierzony poryw czułości zbliżył ją do łóżeczka. Cicho, ostrożnie, z powstrzymywanym oddechem, uklękła na dywanie i obiema rękami ujęła siatkę, dzielącą ją teraz od synka. Przynęła twarz jak najbliżej i patrzyła nabożnie, potrząsając głową, jak rozmodlona chłopka. Radość drżała jej w gardle. Mówiła sobie:

— To on! to on!

A później nazywała go w myśli najśladzszymi, przegłupimi imionami, nie trafiając na dźwięk, któryby mógł wyrazić upragnioną pieszczotę.

Ilekróć wspomniała, że już się nie rozstana, radość jej wybuchała w cichym, przejmującym śmiechu, którego poskromić nie mogła.

Wystarczyło, aby na chwilę oderwała oczy od jego rysów, a już spadał na nią lęk, że zapomni jakiegoś szczegółu i powracała wzrokiem do uśpionej, spokojnej główki. Poila się nią. Brała w posiadanie nanowo. Przyswajała sobie wszystkie małe zmiany, które zaszły w ciągu tych dwóch lat. Układała na nim

swój wzrok, jakby go przyzwyczajała do nowego, wygodnego miejsca.

Godziny płynęły jej niepostrzeżenie na tem cudownym nabożeństwie. W pokoju robiło się chłodno, dom ucichł zupełnie. Zośka, która poszturchiwała do-
tąd garnki, zła, że nikt nie zasiada do kolacji, przy-
łożyła się widać w oczekiwaniu na pana. W jadalnym zegar głośno szedł, jakby wdychał miarowo. Jurek zabajdurzył coś przez sen. Chciała uchwycić wy-
razy, ale gubiły się jedne w drugich.

Przewrócił się na drugi bok, skopując kołdrę. Zerwała się, aby go otulić i dopiero wtedy uderzyła ją ta cisza, podkreślona tykaniem zegara. Uczuła chłód i pomyślała, że trzeba się jednak położyć.

W tej chwili Zygmunt obrócił klucz w zatrasku.

Znała dobrze ten odgłos z dawnych jeszcze lat. Pośpiesznie otuliła Jurka i wyszła z jego pokoju, przy-
mykając drzwi za sobą. Światło raziło ją po wyjściu z półmroku, więc mrugała oczami, zaczerwienionymi z niewyspania, i krzywiła się lekko, próbując poprzez czerwony blask dojrzeć twarz Zygmunta.

Stał przy drzwiach i rozcierał zziębnięte ręce. Podeszła do niego impulsywnie, z wyciągniętą dłonią, uśmiechnięta trochę nieśmiało, a troszkę jakby pro-
sząco.

— Dobrywieczór, Zyguncie! Przyjechałam! — powiedziała.

— Dobrywieczór, Neciu! A czy nie zmarzłaś w wagonie? Noc dziś jakaś chłodna! — mówił, unikając jej spojrzenia.

Ręce ich opadły bezwolnie po krótkim, mocnym uścisku.

Nie wiedziała, co ma teraz robić. Uczucie zado-
mowienia, które opanowywało ją stopniowo, zapadło się i zniknęło na jego widok.

— Zyguncie... ja... przyjechałam do was, aby już zostać z wami na stałe! — wymówiła pani Necia łamiącym się, rozradowanym głosem.

Zygmunt podniósł raptownie głowę:

— Ty?... Ty?... Zostać?!... Na stałe?...

Czy to było zdziwienie, czy radość? Pokiwała głową, uśmiechnięta, bo nie mogła już nic mówić. Gardło zacisnęła jej ten skurecz, po którym są już tylko lzy.

— Ale... jakto? Neciu?!... — jękał się Zygmunt, podchodząc bardzo blisko: — Czy ty serjo o tem myślisz?...

Cień niepokoju przeleciał przez głowę pani Anieli. To chyba nie radość. To wygląda, jak niepo-
kój, który odsuwa się jaknajdalej od siebie.

— Tak! Zupełnie serjo! — powiedziała: — Naj-
zupełniej. Trzeba, żebym wróciła. Jurek musi mieć matkę i niczem są tu moje osobiste, własne sprawy. Ty, Zyguncie, zawsze to lepiej rozumiałeś, niż ja. Trzeba, żebyś mi przebaczył! To są takie konieczności, z którymi nasza ludzka wola nie ma nic wspól-
nego. — Podniosła na męża swoje śliczne, proszące oczy. Przelęknęła się. Taki był zmieniony!

— Co ci jest?! — krzyknęła, chwytając go za rękę: — Jesteś chory!...

— Nic mi nie jest! — odparł szorstko: — Tylko to wszystko zaskoczyło mnie w najwyższym stopniu.

Porywcemsi ruchami przesunął bez żadnego wi-
docznego celu nakrycia na stole. Wyrównał linję krze-
seł pod ścianą, nie myśląc zupełnie o tem, co robi.

— Ale nie możemy przecie tu rozmawiać! —
wybuchnął wkońcu: — Chodź do mojego gabinetu.

Poszedł przodem. Szła za nim posłusznie, z prze-
rażliwym zamętem w głowie. Nie zdawała sobie sprawy z tego, ku czemu idzie. Wiedziała, że będzie źle.

Ach, jakże dobrze poznawała jego sposób mówienia, jego bezwzględne narzucanie swej woli! Ale skoro ma wrócić do tego wszystkiego, niechże więc już przędziej!...

Usiadła, dawnym zwyczajem, na wałku otomany. Tu się załatwiały wszystkie ich porachunki. Skąd odeszła, zbuntowana, od niego, a tem samem i od Jureczka.

A teraz miała wrócić. Wróciła.

Zapalił papierosa.

— Palisz?

— Nie, dziękuję ci.

Chwilkę milczał, zaciągając się dymem. Gdy zaczął mówić, znać było, że sili się na spokój i łagodność.

— Widzisz, Neciu... odkąd wyjechałaś, dużo przemyślałem nad naszym wspólnem życiem. I doszedłem do wniosku, że nie byłem względem ciebie bez winy....

Boże Wielki! Jeśli tak, czemu więc ona się bała? Czemu to uczucie lodowatego zimna w końcach palców?!

— Tak, nie dobraliśmy się usposobieniami. Ty jesteś impulsywna, nerwowa, zmienna. Ja jestem raptus... być może, nawet brutal. Mnie, Neciu, potrzeba było kobiety gospodarnej, uległej, któraby chowała Jurka w czci dla ojca i w poszanowaniu surowej, niewzruszonej tradycji....

Zawahał się. Otrząsał przez dłuższą chwilę popiół nad popielniczką.

Ta popielniczka? Obca. Jakże tu się wszystko zmieniło! Te poduszki, i te fotografie. To Jurek, —

ale to? I to jeszcze?... Kim jest ta piękna brunetka o rysach posągu? Pani Teresa? Tu znów ona, jako młoda dziewczyna. A tu — z Jurkiem... Boże, jak boli!...

— Myślę, że miałaś prawo postąpić tak, jak postąpiłaś! — powiedział nareszcie Zygmunt: — Każdy człowiek ma prawo do własnego szczęścia. Urządziłaś sobie życie, jak ci się podobało. Nie byłem dla ciebie dobry, wiem o tem. Właściwie, cała nasza wina była w tem, żeśmy się wogóle pobrali...

Pilnemi oczami pani Aniela zawisła mu na ustach. Chciała zrozumieć naprzód już to, co on dopiero sformułuje. Głuchy, obrzydliwy niepokój roił się jej pod sercem.

— Ale wszystko zawsze daje się naprawić, przynajmniej dopóki człowiek żyje. Wiem dobrze, że nie mówię nic nowego... Chciałem tylko, abyś wiedziała, że ja zupełnie rozumiem... że nie mam ci wcale za złe twojego wyjazdu. To była twoja konieczność, prawda? Początkowo ciężko mi było. Ale kiedy zrozumiałem, że nie wrócisz, zacząłem sobie życie tak urządzać, aby przeżyć...

Znów przerwa. Czekala niecierpliwie, aby raz przecie się wygadał. Szło mu opornie, choć napewno wiedział, czego chce.

— No, i, Neciu...

Podniósł jedną z ramek, stojących na biurku: — Widziałaś tę fotografię? To moja narzeczona, pani Teresa. Może Jurek ci już mówił?...

No, tak! no, tak! Wiedziała o tem od chwili, kiedy usłyszała to imię po raz pierwszy. Czuła. No, jakże?! Naturalnie, tak, tak... *Kazimiera Mazurkoma.*



W PARYSKIEJ SOFJÓWCE *)

I.

Za kratami i wśród kwiatów

— Mameńko, ja chcę do tatusia!

— Nie, Zosinko, nie można! Tatus w więzieniu...

— Dlaczego z nim nie jestem?...

Pani Barbara z Walchnowskich Kamieńska na to pytanie dziecka smutno się uśmiechnęła. Opuściła kochane Górki, dom wygodny, przeniosła się do Kalisza, mieszkała w zajeździe żydowskim, byle być bliżej męża i móc go często odwiedzać. Zabrała ze sobą córeczki, ale nie chciała, żeby na wrażliwy umysł Zosinki i na jej tak czule siedmioletnie serduszko padał cień więziennej kraty, za którą siedział Ludwik herbu Topór Kamieński, żołnierz napoleoński, kawaler Krzyża Zasługi, pułkownik wojsk polskich, wice gubernator Warszawy w czasie powstania, szef sztabu Rybińskiego — Ludwik Kamieński, świetny i zasłużony tłumacz umiłowanych poetów: Pope'a, Tassa, Dantego, Szyllera i Byrona, których przyswoił literaturze polskiej z wielkim dla rodaków pożytkiem i wielką dla siebie chwałą. Siedział w celi więziennej, oczekując na wyrok: deportacja, czy śmierć?

Zosinka długo matkę prosiła, zresztą i pan pułkownik ogromnie stęsknił się za ukochaną córeczką, dość, że razu pewnego pani Kamieńska zabrała ją ze sobą. Dziecko wielkimi oczkami ze zdumieniem

patrzyło na czarne mury, za którymi szukać trzeba było tatusia. Weszły do celi brudnej i wilgotnej. Przytuliła się do ojca i cicho płakała:

— Tatusiu, tatusiu...

Na drugi dzień też wziąć ją trzeba było i od tego czasu, zawsze, gdy pani Barbara gotowała się do wyjścia, mała Zosia wkładała kapturek i szubkę.

Kiedyś inspektor zastał ją na wizycie u ojca. Mała rezolutnie oświadczyła:

— Chcę z tatusiem mieszkać... Niech pan raz będzie dobry i pozwoli...

Pozwolono jej niekiedy zostawać na kilka godzin, a potem nawet na noc. Na twardem łożu więziennem, żołnierskim jeno płaszczem okryta, drząc od zimna, u boku pułkownika spała drobna dzieciśnina. Budziła się pierwsza i jej dzwięczny głosik, przez grube mury i przez okratowane okna do słońca biegnący, Ranne śpiewał Zorze. Potem jadła z ojcem śniadanie biedne i złe i spędzała razem dzień cały. Tam, w więzieniu, pierwsze od tego dobrego i mądrego człowieka

*) Rzecz o Zofji z Kamieńskich Węgierskiej, znakomitej feljetonistce, pierwszej paryskiej korespondentce „Bluszezu“.

pobierać zaczęła nauki, które, wszczepione w duszę, zostały na życie całe. Pułkownik przemawiał tą piękną i czystą polszczyzną, która go ponad współczesnych wynosiła, uczył geografji, na ścianach więzennych i podłodze kreśląc mapy, malowniczą podróż naokoło kuli ziemskiej odbywał z małą swemi słowami, jak ona, później — tęskniąca za szerokim światem — odbędzie ją po całym świecie — dla innych dzieci — drukiem.

— To widzisz, rybeńko moja, jest Polska. Polska, twój kraj, który kochać ponad wszystkie inne należy...

— To widzisz, ptaszyno moja, jest Francja. Stolicą jej Paryż. Wielki Napoleon...

— Paryż, Paryż — powtarzała, żeby na życie całe zapamiętać tę nazwę.

Narodowe jej opowiadał dzieje i czytał ustępy z historii powszechnej, z La Fontaine'a bajeczki dla niej przekładał i sens ich moralny dziecku tłumaczył. Wkońcu zaczynały się zabawy. Sadzał małą na kolana i śpiewał basem:

„Hop, hop, jedzie sobie chłop,

A za chłopem żyd,

Na koniku hyc!

A za żydem żydóweczki,

Pogubiły...”

— Patyneczki! — kończyła Zosinka, zanosząc się od śmiechu i podrzucając w górę swe czerwone bućki.

Zasypiała zmęczona, tuląc miękką buzię do szorstkiego marsowego oblicza. A ojciec, patrząc na kochaną głowę, pytał: jaki los ją czeka? Myślał o wielu losach, tylko nigdy na myśl nie przyszedł mu ten, który ją czekał.

— Byleby zawsze być razem i zawsze blisko... Do końca mego niedługiego żywota...

Żywot jego był długi, bardzo długi, ale szybko, zbyt szybko życie ich rozdzieliło. Najpierw na lat kilka, a potem na zawsze.

Pułkownik Kamieński wyrokiem sądu wojskowego skazany został na zesłanie do Wiatki.

Ostatnia bytność Zosinki u ojca...

— Jedziesz, tatusiu, musisz jechać, oni każą... Ale wrócisz do nas?

— Wrócę, dziecko, wrócę... Zastanę cię dużą dziewczynką. Taką dobrą, jak teraz, ale mądrzejszą, niż teraz...

— Pewno, tatusiu. Nie płacz, tylko nie płacz, gdy trzeba się nam będzie żegnać...

W ogrodzie, dwór w Górkach otaczającym, późna wiosna podlaska. Jabłonie kwitły i wszystkie do życia budzić się zaczęły drzewa. W cieplarni, pełnej najrzadszych roślin, pielęgnowanych przez panią Kamieńską starannie i z miłością, podniosły główki egzotyczne kwiaty.

Zosia chodziła wśród odwiecznych cudów przyrody, czekając powrotu ojca. Małym dzieckiem ją odjechał, ale w serduszku pamięć o nim zachowała bardzo żywą i radość jej równała się weselu wiosny.

Jemu to zawdzięczała pierwsze nauki i pierwsze początki zamilowań do wiedzy; miała nadzieję, iż dalej ją poprowadzi na tej drodze, która tyle zaciekawień budziła i tyle nierozwiązanych zagadek przed sobą kryła. Nauczycielki jakoś nie tak ucza! Każą pisać konjugacje francuskie, bez końca powtarzać wyjątki od reguł gramatycznych, ale to jest przecież w książkach, jest w książkach tysiąc razy napisane,

a ona szuka czegoś, czego w książkach znaleźć nie można!

Pułkownik wrócił.

W tę wiosnę 1840 roku zaczęła się nowa nauka — najpierw pod kwitnącą jabłonią, a potem w cieniu rozłożystej lipy, wkońcu, gdy jesień się zbliżała, w długich alejach grabowych, po których słońce również spaceruje.

Ojciec wskazał Zosi piękności natury, nauczył nietylko ją kochać, ale i znać. Po kilku miesiącach nie było na grzędach ogrodu w Górkach, nie było na łąkach i polach liwskich, nie było w głębi lasów sosnowych żadnego kwiatu, żadnej rośliny, której nazwy młodzianka dziewczyna nie znalazła po polsku i po łacinie. Odtąd rodzima przyroda stała się jej na zawsze bliską. W oranżerii spotkała się z przyrodą innych krajów i innych światów. Poznała ich właściwości, pokochała ich piękność.

Niebo, dawniej jednobarwnie błękitne i złote, zaroilo się gwiazd miljonem, a każda imię swe dla jakiegoś nosiła powodu i miała historję tak dawną i tak bogatą, jak bohaterowie, którym niegdyś przyświecała.

Z pokoju, zwanego szkołą, gdzie wychowanki pensji pani Wilczyńskiej kładły w biedną główkę tajemnice nieżywego języka, kochany ojciec wyprowadził Zosię na otwarty, wielki wszechświat. Nauczył patrzeć na wszystko, co jest stworzone, i powiedział, iż wszystko jest piękne i dobre. Gdy dzień był chmurny i pozostać trzeba było w pokoju, smutek ogarniał dziewczętko, a cieszyło się każdym słońca promykiem. Na zawsze jej to pozostało, na życie całe, ta pamięć szczęścia i wesołości, zależna od pogody. Choć potem nieraz trzeba było, nie bacząc, czy burza czy deszcz, prunelowe moczyć pantofelki...

Na balik pierwszy w sąsiedztwo wybierała się Zosia.

Przypięła kwiat do małej główki. Ojciec jej rzecze:

— W Stanisławowskim znałem ja-ci legjonistę, który pół świata wzdłuż i wszerz przeszedł i takie córce swej dawał rady:

— Jeśli masz różę przy lewej skroni, a przyjaciółka powie, że ci z nią ładnie, nie wahaj się chwilkę, nie patrz do zwierciadła, przelóż kwiat z lewej skroni na prawą skroń.

Zofja śmiała się, lecz choć ją chwalono, różę zostawiła tam, gdzie ją przypięła. Pewną była, że równie jej do twarzy, czy lewy jej policzek, czy też prawy, cień kwiatu zaróżowi...

Na baliku poznała pana Edwarda Mielęckiego, rodem z Wielkopolski. Pan Edward Mielęcki własnego herbu Aulok, dziedzic Ściborza pod Inowrocławiem, były oficer wojsk polskich, kawaler Krzyża Virtuti Militari, dwanaście pokoleń szlacheckich miał za sobą. Ale ani młodym, ani pięknym, ani miłym nie był.

Pan Mielęcki bardzo wiele z Zosią tańczył, choć go ona do mazura nie wybrała.

— Zosinko, to niegrzecznie — strofowała matka.

— Mameńko, przyjechałam się bawić...

Ciotki z Wielkopolski pisały: „Ściborz jest wielkim majątkiem, pan Edward Mielęcki jest doskonałą partją”. Pisały nawet, że pan Edward Mielęcki bardzo w Zosi zakochany.

Nikt Zosi nie zapytał, czy kocha tego nieznanego mężczyznę. Nawet dobry ojciec o to się nie zatroszczył.

Dzieckiem prawie wydano ją zamąż za niekochanego człowieka. Wydano zamąż dziecko, które w celi więziennej nauczyło się kochać ojczyznę, a w ukwieconym ogrodzie nauczyło się kochać świat.

Aura Wyleżyńska.

ANDREA DEL SARTO

wo czterechsetną rocznicę śmierci (1486 — 1531)

W końcu stycznia roku bieżącego minęło czterysta lat od śmierci jednego z najbardziej utalentowanych malarzy włoskiego Odrodzenia, Andrea d'Agnalo, znanego pod mianem Andrea del Sarto, był bowiem synem krawca (sarto) z Florencji. Syn miasta, które zmęczyło się już rodzeniem genjuszów, był nieodrodnym dzieckiem swej epoki, schyłkowcem Renesansu. Kiedy przyszedł na świat, na czarodziejskim drzewie włoskiego Odrodzenia nie było już pąków, a najpiękniejsze jego kwiaty zaczęły się osypywać. Rozkwit stawał się przekwitem. Wszystko już było wypowiedziane — technika malarska doprowadzona do zawrotnych szczytów doskonałości; kto zdołał te szczyty osiągnąć, miał już tylko przepaść do przebycia. Leonardo da Vinci wierzył, że stworzy skrzydła, które go uniosą ponad otchłania, Michał Anioł tragicznie walczył z formą, ogarnięty gorączką wyżyn, inni utartym szlakiem zdążali w żyzne doliny akademickiej poprawności.

Andrea del Sarto stanął na rozdrożu między przeznaczeniem genjuszów, a losem talentów, między walką bez pewnego zwycięstwa, a łatwym powodzeniem bez walki. Kto wie, gdyby bez zastrzeżeń wybrał



Andrea del Sarto: „Chrystus ukazuje się Magdalenie“.



Andrea del Sarto: „Autoportret“.

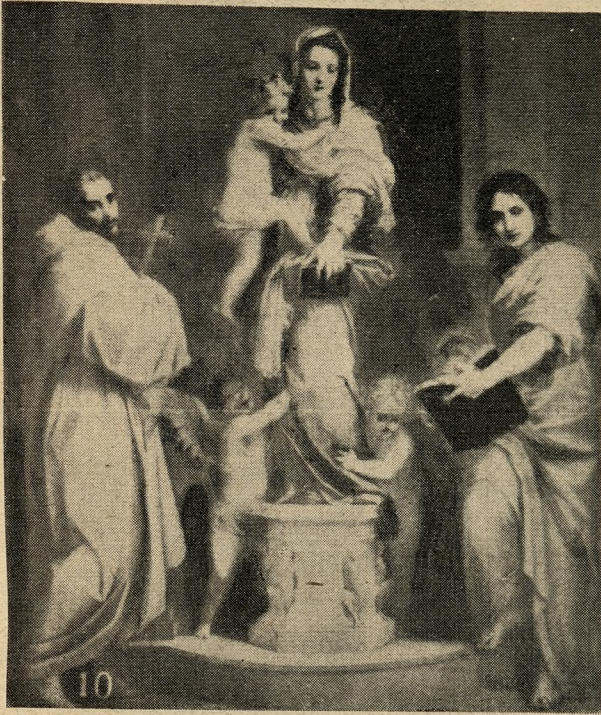
tę pierwszą drogę, może osiągnąłby największe zwycięstwo, jakie danem jest osiągnąć artyście: odnalazłby prawdziwego siebie.

Ale zaczarowane drzewo Renesansu, drzewo wiadomości dobrego i złego, kuśilo go swemi owocami, jak pierwszych rodziców w raju. I jak pierwszych rodziców zgubiło go pokusą pychy. „Będziecie jako bogowie...“ szeptał szatan.

Andrea del Sarto, uczeń Pietra di Cosimo, nie przejął się manierą swego mistrza. Jego ambicje sięgały wyżej. Laury Michała Anioła i Leonarda da Vinci nie dawały spać młodemu artyście, który w głębi swego twórczego „ja“ wyczuwał możliwości, zdolne sprostać tym dwu tytanom.

Niewątpliwie te możliwości istniały. Andrea del Sarto miał wrodzony instynkt barwy, który pozwolił mu osiągnąć nieznanne dotychczas efekty w posługiwaniu się tonami srebrno-szaremi. Ale poza temi walorami czysto malarskimi, portrety Andrea del Sarto zdumiewają jeszcze dziś głębią i intensywnością psychicznego przeżycia. Jego „Autoportret“ — to zarazem jakby jego autobiografia: cały dramat porywów, zmagań się, zawodów i upadków, całe życie artysty o wielkich namiętnościach przemawia do nas z tej twarzy, wylaniającej się z ciemnego tła obrazu, jak z głębi fatalnych tajemnic, które każda silna indywidualność nosi w sobie.

Dwa były demony, trapiące duszę artysty. Jeden — to demon ambicji, który kazał mu współzawodniczyć z Michałem Aniołem przez niewolnicze naśla-



Andrea del Sarto: „Madonna dell'Arpie”.

downictwo tragicznych pów, jakie przybierały postacie genialnego twórcy „Sądu Ostatecznego”. Ale to, co u Michała Anioła było niejako koniecznością, u Andrea del Sarto groziło niebezpieczeństwem maniery. To uleganie narzuconym sobie dobrowolnie metodom widzi- my wszędzie tam, gdzie artysta tworzy kompozycje zbiorowe, w których kilka postaci owładniętych jest wspólnym wichrem gestu, dalekiego od prawdziwej postawy twórcy wobec swego dzieła — postawy, której istotą u del Sarto było skupienie. Zato wszędzie tam, gdzie artysta jest sobą, gdzie na ludzkiej twarzy może skondensować siłę i wymowę gestu wewnętrznego, tam tworzy arcydzieła.

Nazywano go przez dłuższy czas pogardliwie „malarzem bez wad”, w jego technicznej doskonałości upatrując powierzchowność artystycznego przeżycia. Niewątpliwie kusila go niejednokrotnie łatwość tworzenia, ta uwodzicielka, doprowadzająca największe talenty do ruiny. Od banalności ocalał go jednak zawsze wrodzony dobry smak, niezawodna pewność ręki i to, co się nie da ująć w ramy definicji, a co się nazywa prosto iskrą bożą.

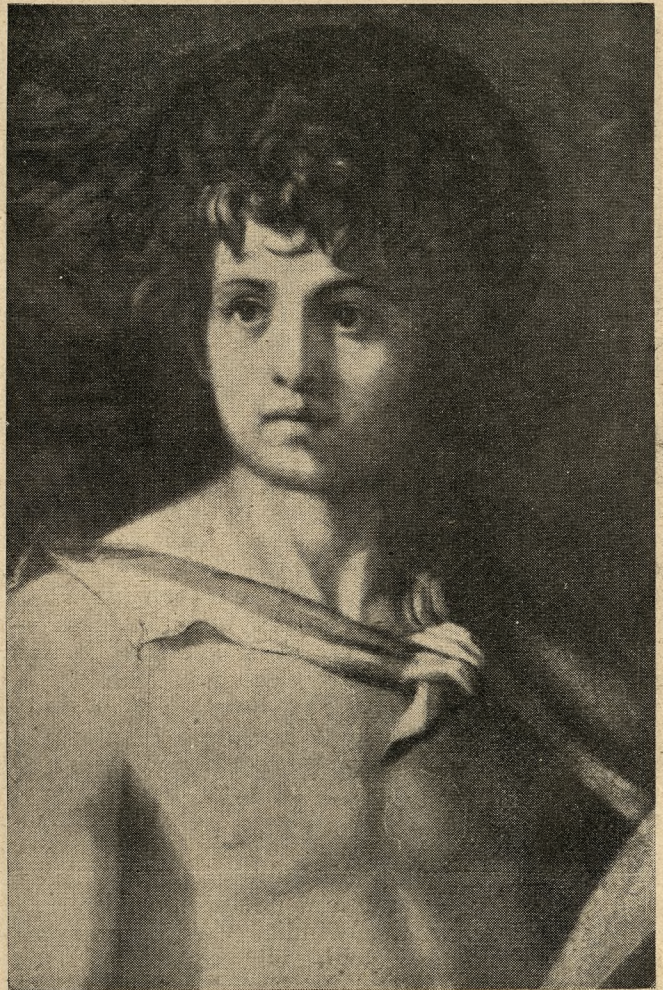
Nie tu szukać należy drugiego demona, który stał się prawdziwą zmorą i przekleństwem wielkiego artysty. Tym drugim demonem, potężniejszym i zjadliwszym od trawiącej go ambicji, była kobieta — piękna i wyuzdana Lukrecja del Fede. Typowy wampir Odrodzenia: oblicze Madonny, dusza ladacznicy. Oblicze uwiecznił artysta wielokrotnie w swoich postaciach niewieścich, między innymi w poważnej i tragicznej Madonnie z księgą (Madonna delle Arpie).

Dusza wsączyła mu się, jak jad do żył, zatruwając jego krew, naznaczając jego czoło piętnem niesła-

wy, górną drogę jego twórczości spychając na manowce. Lukrecja w ordynarny sposób eksploatowała talent artysty. A ambitny del Sarto, którego skrytem marzeniem było przewyższyć Michała Anioła i Leonarda da Vinci, pozwalał niecej kobiecie traktować siebie, jako kopalnię złota. Mało tego: dla niej, dla Lukrecji sprzeniewierzył znaczne sumy, powierzone mu przez Franciszka I, króla francuskiego, na zakup dzieł sztuki.

To był sromotny kres jego kariery artystycznej, ale nie kres jego artystycznego oddziaływania. I dzisiaj jeszcze pielgrzym, zbłąkany w tym zaczarowanym lesie arcydzieł, jakim jest Galerja Pitti i Uffizi we Florencji, zatrzyma się w zdumieniu przed jego autoportretem, przed młodzieńczą postacią św. Jana Chrzciciela, przed Madonną z księgą, czy wreszcie przed radosnymi freskami w kościele St. Annunziata, pytając, skąd w tym mistrzu Renesansu tyle nowoczesnego malarza, skąd to impresjonistyczne posługiwanie się gamą barwną, skąd to poczucie powietrza, drgającego naokoło przedstawianych postaci i przedmiotów. I skąd ten tajemniczy ich wyraz, który nie jest, jak u Leonarda, zagadką uśmiechu, ale zagadką zadumy.

Stefanja Podhorska-Okolów.



Andrea del Sarto: „Święty Jan”.



Tadeusz Nartowski: „Positano“.

W S Ł O Ń C U

Z Neapolu pędzimy z wiatrem w przegony po gładkiej, lśniącej w słonecznych promieniach, automobilowej szosie. Przestrzeń znika nam z pod kół, i w niespełna dwadzieścia minut jesteśmy w Pompei. Stąd droga prowadzi przez płaskie, uprawne równiny. Mijamy małe domki z oknami, zdobnemi w wianki ponsowej papryki. Gdzieś tam samotna, posępna pinja uderza spojrzenie. Od gwarnege Castellamare, małego portowego miasta, jedziemy wykutą w skale drogą, zawieszoną między niebem i morzem. Światłość słoneczna przenika do krwi, nasycą mocą życia, i wystarczy patrzeć, nie uświadamiając swych wrażeń, aby odczuć niepomierną radość bytowania. Po chwili wzrok, niczem niepowstrzymany, leci w dal. Tam, gdzie neapolitańska zatoka łączy się z otwartym morzem, gdzie lazurowa toń w słonecznych promieniach igra złotem falowaniem, majaczy ciemna masa — to Capri. Gdzie morze wdiera się w łąd wąskim pasem, tworząc jar o stokach, pokrytych winnicami i pomarańczowemi gajami — to Vico Equense. A w dali widnokregu, wśród palm, bieleją wille Sorrenta, pławią się w świetle, radują oko symfonią wszelkich barw i odcieni jesiennego kwiecica. Za nami Wezuwjuś tkwi groźny i ponury.

Od Mety droga boczna pnie się pod górę, wśród gajów cytryn i pomarańcz, które aż przez mur zwieszają gałęzie, złotem owoców obciążone; wije się ciasnemi zaułkami, wzdłuż winnic, gdzie dojrzałe grona lśnią wśród ciemnej zieleni. Zbliżamy się do Positano. Skaliste urwiska, jak nieruchome strażnice, wznoszą wysoko i dumnie w ciemny błękit owinięte szczyty, przedziwnie w różne kształty wyrzeźbione. Rozpo-

ścierając się zawilym szlakiem od krańca do krańca widnokregu, rzucają posępną nutę na cały krajobraz. Jedziemy teraz wąską drogą, przytuloną do niebotycznej skały, zakończoną murem, strzegącym pochyłości od strony morza. Co chwila wiraże, mosty kamienne nad przepaściami, strome wzniesienia, nagłe spadki. Na śmiałych rzutach skał, wbiegających w toń, wyrastają zuchwale olbrzymie agawy; tu i tam, przysiadłszy, grzeją w słońcu potworne swe cielska pękate kaktusy. Jednostajny poszum morski przerywa ciszę. To zabiegliwa fala, z wielkich idąc oddaleń, stara się napróżno od tysiącleci, wśród rytmów niezmiennych, połknąć przybrzeżne kamienie.

Przed nami asfaltowa droga zatacza łuki, znika z oczu, idzie szczytem wiszaru do Ravello, i znów dostrzegamy ją daleko w błękitcie, przewijającą się łagodnie ku Amalfi i Salerno.

W pewnej chwili na jednym ze skrętów widzimy, jak na dłoni, ciche Positano, przyparte do wyniosłego zbocza, w kilku poziomach rozłożone na stoku skały. Jednym rzutem oka ogarniamy łuk małej zatoeki, zakończonej wieżami saraceńskimi, o charakterze warownym, obliczonym na wytrzymałość nieprzyjacielskich ciosów — czatownia, ostatnia ucieczka, ostatni punkt obronny mieszkańców.

Pod panowaniem saraceńskim Positano było pełne życia i wesela przy dźwiękach lutni i mandoliny. Czarowne księżycowe wieczory positańskie spędzali saraceni w ogrodach, spuszczaających się tarasami ku morzu, słuchając opowiadań bazarzy, lub roztrząsając ważne zagadnienia doli człowieczej. W wymownej ciszy nocy, odświeżanej pachnącem węs-



Tadeusz Nartowski: „Chiesa Nuova w Positano“.

technieniem glicynji, kwiecistą mową swoją wygłaszali zasady fatalizmu, wszczepionego przez Koran.

Oddając się na pastwę cudzoziemców, Italja południowa nigdy nie zdobyła się na energiczną i skuteczną inicjatywę przeciw najezdnikom. Usposobienie bierne, lenistwo fizyczne i umysłowe wyrobiły się za nadto silnie pod wpływem upajającej natury, by miały ustąpić miejsca samodzielności i zdolności do czynu.

W północnej Italji spotykamy się z wielką liczbą niezależnych od siebie księstw, rzeczywistych i miast wolnych, których wcale nie było na południu. Każda z tych cząstek całości na tle ogólnem wyróżniała się czemś, sobie tylko właściwem, rozwijała się sama, rywalizując z sąsiadami, była ruchliwa, myśląca, czynna.

Mówiąc o sztuce, zliczyć niepodobna tych odrębności. Na tak małej stosunkowo przestrzeni tak wielka rozmaitość stylów.

Południowa Italja z Sycylią przedstawiają natomiast jedną zbitą masę, bez świadomości celów, bez stale oznaczonego kierunku. Dzieje tego kraju można określić jednym słowem — obojętność. Tem się właśnie da wytłumaczyć różnorodność wpływów, działających i na sztukę, która trwała w bezmyślnem powtarzaniu obcych wzorów, przejmując biernie narzucone sobie style i kierunki. Bizantyzm rozprzestrzenił się z rządem cesarzów wschodnich, styl maurytański z Arabami, gotycki z Normanami, a nawet wpływ tokański, obok klasycznych motywów. Budownictwo południowo-italskie, również jak sycylijskie, nie zajmuje zbyt wybitnego stanowiska w dziejach architektury. Niesłychany przepych w ozdobie, kosztowne mo-

zajki, zbyt kowny materiał, świecący złotem i marmurem, wszystko to nie zdołało wyrobić stylowi temu sympatji na północy; ostrołuk maurytański tak samo nie znalazł zastosowania, jak podkowiaste arkady i bizantyńska nieorganiczna ornamentyka.

W Positano znaleźć można i wieżę o romańskim zarysie, i łuk ostry, przyjęty z saraceńskiej architektury, i kopulaste sklepienie Bizancjum, i antyczne o szlachetnym profilu kolumny. Słowem, najróżniejsze pierwiastki schodziły się i łączyły razem w całość, pozbawioną nieraz organicznego związku, ale pełną życia i malowniczości. Obecnie stare budowle giną pod gruzami, rozrzucone na wszystkie strony, przez czas i ludzi niszczone.

W wiekach ubiegłych pstra ludność portowa tłumnie mrowiła się na wybrzeżu morza, gotowa do boju o pierwszeństwo z Rzeczpospolitą Amalfi. Walka z ową wieczną rywalką była jedyną sprężyną życia politycznego grodu, poświęconego bogowi Posejdonowi. Dziś w małym porcie rybackim panuje marzące milczenie. Jedynie starzy rybacy o twarzy, pokrytej subtelną zasłoną smutku, dumają sam na sam z wodnym przestworem, z miłością do potężnego żywiołu. Duże, płaskie ich łodzie, zlekka tylko przez miękkie fale kołysane, zdają się razem z starcami patrzeć i czekać. Olbrzymich rozmiarów sieć zaściela kamienią plażę. Lud rybacki wypływa nocą na połów, kiedy spokojna tafla wód zlewa się z nieboskłonem, tworząc jeden firmament, jaśniejący niezliczonymi gwiazdami.

W pogoni za słońcem przybili do tej zacisznej przystani jacyś dziwni ludzie. Można ich rozpoznać, gdy krokiem powolnym idą to tu, to tam po krętych



Tadeusz Nartowski: „Uliczka w Positano“.

schodach stromych uliczek. Idą bez pośpiechu, to w jedną, to w drugą stronę, jakby na zawitych skalnych drogach szukali lekarstwa na dręczące tęsknoty. Owi dobrowolni wygnańcy, oderwani od rzeczywistości życia, wiodą przyciszony żywot w świetlistem odlecie. Myśl ich wyzwała się z pod ciężaru wspomnień, z pod hipnozy tęsknoty. Dobrotliwa mgła nakrywa życie minione, tłumi głos przeżytych cierpień. To, co mocą sennego marzenia przeculi, to ujrzeli tutaj w jasnym rozkwicie: powietrze, rozśpiewane wieczną pogodą, widoki, pełne blasku i woni, wyłącane słońcem, polichromję olśniewającą barw, smukłe ciała ludzkie, zgorzałe od słonecznego żaru, patyną brązu powleczone. Oczy, przywykłe do mroków, obejmują rozkochanym wzrokiem cały świat kształtów, tęczy świat barw, wnikają we wszystko, wzrastają w każdy szczegół.

Bezradni wobec faktu, iż życie przepływa ciężką i nudną falą powszedniości, chcą baśni i zamieniają swą duszę w zaświat czarodziejski. Tajemnicza potęga piękna niewysłowionego jest właśnie tą wróżką, która dokonywa zaklęć i czarów nad samotnymi, oczekującymi cudu duszami.

Emilja Szenwicowa.

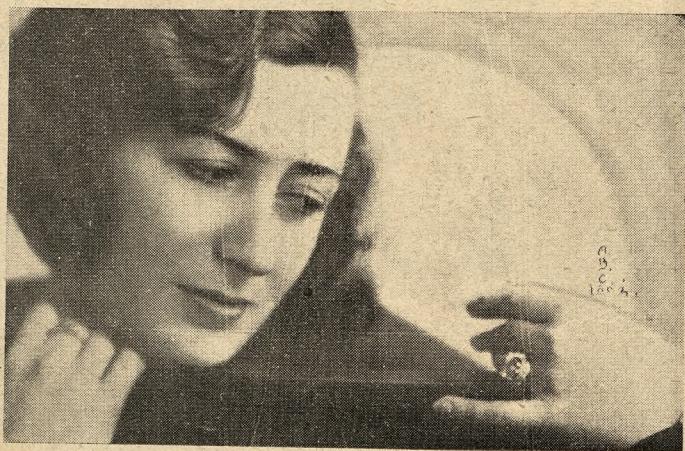
Z TEATRÓW

TEATR NOWY.

„Rozkosz uczciwości” — komedia w 3 aktach L. Pirandello.
Przekład B. Górczyńskiego. Reżyserja Wiktora Biegańskiego.
Dekoracje A. Aleksandrowicza.

Specjalne warunki struktury Teatru Nowego, ad hoc przeobrobionego z jednej z sal rezydowych, stwarzają jedyną w swoim rodzaju atmosferę intymnego wnętrza. Czynią one z widza nie biernego świadka teatralnych zdarzeń, ale wrażliwego i czulego uczestnika duchowych perypetyj postaci, które, zwłaszcza w sztukach nawskroś psychologicznych i dialektycznych, stają się tylko jednym więcej ogniwem w łańcuchu zjawisk psychiki zbiorowej.

Umiejętna inscenizacja i dyskretne posługiwanie się niewinnymi zresztą trick'ami oświetleniowymi spotęgowały jeszcze złudzenie prawdy życiowej w „Rozkoszy uczciwości”. Kiedy po-



Stefania Jarkowska, artystka Teatru Polskiego, odniosła świetne sukcesy na gościnnych występach w Łodzi.

raz pierwszy rozchyła się zasłona, na scenę, pograżoną w mroku, padają od sali widzów dwa księżycowe odbicia sklepionych okien pałacowych. Scena—to zatem tylko odcinek salonu — w jego głębi, pod dwiema smugami światła ukryci widzowie niejako podsluchują, co się dzieje na tym drobnym skrawku skondensowanych ludzkich namiętności, przed chwilą obcych, za chwilę już bliskich i znanych. Od pierwszego momentu widz wchodzi w atmosferę zagadki, jakby naprawdę znalazł się przypadkiem w cudzem mieszkaniu i podpatrywał cudze tajemnice. Autor nawet nie kiwnie palcem, aby mu dopomóc. Stopniowo, z pewnym nawet mozołem, nużąca ekspozycja doprowadza go do meritum sprawy: do skandalu w rodzinie arystokratycznej, który łączy się użyta metoda małżeństwa z podstawionym mężem figurantem.

Sztuka zaczyna się zatem melodramatycznie, przyciemnia i sytuacja, i postacie, które ją wywołały, mają wszystkie cechy komedjowego szablonu. A jednak widz czuje, że tu w powietrzu unosi się coś więcej, niż pospolity skandal. I nie myli się. Z wejściem Brydzińskiego w roli Baldowina (owego podstawionego męża) smuga światła, ostra, jak sztylet, przecina brudną płachtę hypokryzji, zakłamania, bałwochwalczego kultu pozorów. Ze sceny pada głos uczciwości. Jest to uczciwość nieco problematyczna, a jednak w swojej dialektycznej wymowie tak przekonująca, że widz ulega jej czarowi, jak piątomu syreny. Jest porwany niezwykłością pomysłu, akrobatycznym genjuszem Pirandella, który tam, gdzie wszyscy widzą tylko rów, pełen błota, przerzuca tęczy most ideału.

Psychologiczne salto-mortale autora polega na tem, że człowiek mądrego i mocnego, choć życiowo zdeklasowanego, stawia w sytuacji skandalicznej i poniżającej, z której wychodzi nietylko nieskalany na uczciwości i honorze, ale ze zdobyczą królewską w postaci najpiękniejszej dźwigni moralnej, jaką jest miłość szlachetnej kobiety.

Tego bohatera i Petroniusza uczciwości z genialną wprost intuicją wcielił Brydziński. Osiągnął jeden z największych triumfów artysty: wzbudził w widzach wiarę w możliwość nieprawdopodobieństwa. Dulebianka stworzyła świetną sylwetkę starej arystokratki, w której dama walczyła z kobietą. Biegański, który zresztą świetnie wyreżyserował sztukę, w roli markiza nadmiernie może podkreślał jego nicość duchową, zbyt wczesnie demaskując tem intencje autora. Od pierwszej bowiem chwili ukazana się na scenie Brydzińskiego, było oczywiście, że normalna kobieta, mając do wyboru między kukłą a mężczyzną, wybierze mężczyznę. Lindorffówna w roli ofiary nielegalnej namiętności i legalnego związku miała dużo wdzięku i prostoty.

Sztuka należy do rzędu tych, których słucha się z niesłabnącym zainteresowaniem i artystyczną rozkoszą, o której dyskutuje się zaciekle w antrakcie i po przedstawieniu.

I jeszcze jedno: podziwiać należy, ile szlachetności, inteligencji, finezji i uroku umiał wysnuć autor z tematu, pozornie tak bardzo skandalicznego. Tak poczynać sobie może tylko prawdziwy czarodziej sceny.

S. P. O.

Teatr dla dzieci „Jaskółka”. Widowisko jasełkowe: „Wesoło śpiewający”.

Tradycyjna szopka, odegrana i odśpiewana przez dorosłych aktorów zespołu „Jaskółki” w kostjumach ludowych i na tle dekoracji, skomponowanych z ludowych wycinanek. Tekst piosenek albo autentyczny albo umiejętnie stylizowany w duchu ludowym. Konferensierka nawiązuje kontakt z widownią. Całość owiana tą atmosferą prostoty środków łącznie z wysokim estetycznym poziomem, który czyni z tego sympatycznego teatrzyku jedyną w swoim rodzaju placówkę kulturalno-wychowawczą.

Dzięki niezmiernie inicjatywie i zabiegom p. Janiny Strzeleckiej, organizatorki „Jaskółki”, teatrzyk ten otrzyma stałą siedzibę w odnowionym i nowoczesnie urządzonym teatrze Stanisława Augusta w Pomarańczarni.

S. P. O.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

NAUCZYCIELKI W ORGANIZACJI GOSPODARSTWA.

W Kole Poznańskim Stowarzyszenia Nauczycieli Szkół Zawodowych utworzyła się Sekcja Gospodarcza, skupiająca nauczycielki szkół zawodowych żeńskich Okręgu Szkolnego poznańskiego. Celem Sekcji jest doskonalenie metod pedagogicznych, tworzenie ułatwień technicznych w prowadzeniu gospodarstwa domowego, organizacja pracy, badanie racjonalnych metod pracy. Cel ten urzeczywistnia się przez stałą i czujną współpracę nauczycielek. Raz na miesiąc odbywa się w Poznaniu w gmachu Państwowej Szkoły Handlowo-Przemysłowej zjazd członkiń. Zjazdy te są miejscem ożywionej wymiany myśli i doświadczeń, porządek obrad obejmuje zwykle referat z jednej z dziedzin, które sekcja obrała sobie za cel, i sprawozdania z fachowych czasopism krajowych i zagranicznych.

JUBILEUSZ LITERATKI.

W Tow. Literatów w Wilnie odbył się obchód 25-lecia pracy literackiej Heleny Romer-Ochenkowskiej. Jubileuszowi temu poświęcono specjalny wieczór środowy w Towarzystwie. W jednym z najbliższych numerów „Bluszczu” damy szczegółowe sprawozdanie od naszej korespondentki.

SPADKOBIERCY SŁAWY.

Paryż mówi obecnie wiele i z gorącą sympatją o ślubie dwojga młodych ludzi, potomków dwóch wielkich, choć różnych, sław francuskich. Inżynier Michał Clemenceau, bratanek Jerzego Clemenceau, poślubił pannę Terka Gross, wnuczkę Sary Bernhard. Młoda małżonka zamierza wstąpić w ślady swej wielkiej babki, ma bowiem wybitny talent sceniczny.



Młodzi państwo Clemenceau.



Elga Kern.

ELGA KERN O POLSCE.

W poprzednim numerze „Bluszczu” ukazał się artykuł, omawiający książkę o Polsce, pióra Elgi Kern, obecnie podajemy fotografię sympatycznej autorki.

ANGIELKI SZUKAJĄ SPOSOBU NA BEZROBOCIE.

Podczas, gdy rząd angielski nie tylko nie umie zaradzić radykalnie sprawie bezrobocia, ale nawet tak mało zajmuje się nim (poza wypłacaniem bezrobotnym wysokich zasiłków, formalnie rujnujących skarb), że opozycja uważa to za jeden z najwybitniejszych dowodów niedołęstwa Mac Donalda, kobiety bardzo energicznie i racjonalnie obmyślają środki zaradcze. Świeżo odbyło się zebranie delegatek kilkudziesięciu stowarzyszeń kobiecych, na którym zapadły następujące postanowienia:

1) Kształcić zawodowo kobiety bezrobotne, kierować je nie tylko, jak dotychczas, do służby domowej, ale do różnych rodzajów pracy, w których niema dotychczas bezrobocia; 2) używać kobiet nie tylko do pracy na roli, ale i ułatwiać im szkoleniem i kredytami drobne dzierżawy, hodowlę, ogrodnictwo itp.; 3) ułatwiać w jaknajszerszym zakresie emigrację kobiet do angielskich dominjów, oraz znalezienie tam pracy.

Zrealizowanie tych postulatów, zahaczających o działalność różnych ministerstw, wymaga zapewne wielkich nakładów finansowych. Ale te wydatki nie idą, jak dotychczasowe, w próżnię. Czy nie bardziej celowe jest dać bezrobotnej kobiecie jednorazowo możliwość rozpoczęcia jakiegoś handlu, hodowli, czy wykwalifikować ją na dobrą służącą, lub nurse (a tych zawsze brak), niż płacić jej stałą zapomogę, którą wyda na konieczne potrzeby życiowe, nie pomagając sobie niczem? Na ten jednak „niezwykły” pomysł wpadły dopiero kobiece działaczki angielskie; mężczyznom nie przyszło to do głowy.

RÓWNOŚĆ, KTÓRA KRZYWDZI.

Prawodawstwo angielskie posiada, jak wiadomo, wiele dziwactw, jedno z nich jest jednak specjalnie dotkliwie: oto zarówno mąż, jak żona, ma tam prawo zapisać cały majątek innej osobie, wydziedziczając kompletnie współmałżonka i dzieci. Prawo to nie wprowadza wprawdzie różnicy płci, równouprawniając kobietę w tym względzie, właściwie jednak stanowi głównie krzywdę kobiet. Mężczyzna, o ile nawet nie posiada majątku, ma zawsze jakiś zawód; kobieta, niestety, nie zawsze. Tymczasem żona bardzo bogatego człowieka może nagle, z chwilą jego śmierci, znaleźć się w nędzy wraz z dziećmi.

Dopiero przed dwoma laty pomyślano o zmianie tego prawa, narazie jednak wszelkie usiłowania były bezskuteczne. Obecnie panna Eleanor Rathbone, posłanka, wybrana do Izby Gmin przez uniwersytety angielskie, wniosła znów projekt reformy prawa spadkowego. Miss Rathbone proponuje, aby współmałżonek, o ile pozostają i dzieci, dziedziczył z prawa trzecia część majątku ruchomego i nieruchomego; o ile dzieci niema — połowę, z tem tylko zastrzeżeniem, że dochód normalny, podług ustanowionej stopy procentowej, części spadkowej nie może przenosić 2-eh tysięcy funtów rocznie. Przy bardzo wielkich majątkach część ta będzie więc z natury rzeczy nieco mniejsza. W każdym razie jest to wielki postęp. Niewiadomo tylko, czy Bill Rathbone przejdzie pomyślnie. Początek jest już jednak zrobiony.

STULETNI ZECERKA.

Dziwna ta staruszczyca jest ultra postępową w pracy i ultra konserwatywną w trybie życia. W mieszkaniu swem pali tylko świece, nie lubi bowiem elektryczności. Nie jechała



Helena Bonnet.

w swem życiu koleją, autem, ani tramwajem elektrycznym, mieszka bowiem bardzo blisko miejsca pracy. Utrzymuje ona, że tylko ten system życia zachowuje jej zdrowie i czerstwość. Pani Helena Bonnet pracuje, jako zecerka, w małej drukarni na ulicy Vaugirard.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Nadzieje, które żywili nacjonałiści niemieccy, że podczas rozpraw nad skargą mniejszości niemieckiej na Śląsku, uda się poruszyć w Lidze Narodów sprawę rewizji traktatów, speliły na niczem.

Czy minister Curtius zastanowił się, pod wpływem „rozu-
mu politycznego“, czy osądził, że, z czemkolwiek powróci do Berlina, ulegnie zawsze atakom hitlerowców, czy był wogóle nieusposobiony, dość, że jego mowa przeciwko Polsce wypadła blado, powtarzała zarzuty, wniesione w nocy Volksbundu, naogół nieścisłe i już przez Polskę zdementowane, a więc, co najmniej spóźnione. Wszystko robiło mętne wrażenie, wycofywania się, czy zorientowania, że i tak nie z tego nie będzie. Curtius nie zażądał nawet komisji, dla zbadania tych rzekomych nadużyć. Poinformował Ligę, że były, dodając na zakończenie szereg frazesów o pokojowych dążeniach Niemiec!

Jakże inną zupełnie treścią, rzeczową, mocną i nieodpartą zabrzmiała odpowiedź ministra Zaleskiego. Opierając się na samej skardze Volksbundu, podkreślił minister Zaleski, że sami Niemcy śląscy stwierdzają, iż stosunki obu ludności uległy znacznej poprawie i do roku 1930 *były dobre*. Dlaczego w tym właśnie roku się popsuly? Są to skutki ataków Treviranusa na granice Polskie. Pomimo tego, nie Niemcy śląscy padli ofiarą walk wyborczych, ale właśnie Polacy, jak posterunkowy Sznappa. O ucisku ludności niemieckiej na Śląsku trudno mówić, gdy ludność ta, licząca 200 tysięcy, ma 84 szkoły powszechne i 15 gimnazjów niemieckich, podczas gdy 542 tysięcy Polaków ma w Niemczech polskich szkół powszechnych 28, a średniej ani jednej! (Świeżo zaś, w dniu Sesji Ligi przysłała wiadomość, że z tych 28 zamknięto 19!). Skarga niemiecka twierdzi, że od udziału w wyborach usunięto 30 tysięcy Niemców, minister Curtius mówił już tylko o 5 tysiącach, faktycznie unieważniono na Śląsku z różnych powodów 3 tysiące kartek wyborczych; naturalnie, były tam głosy zarówno polskie, jak niemieckie, gdyż przyczyną unieważnienia głosu wyborcy nie jest jego narodowość. Cóż, nie wielka różnica, jedno zero!

Na zakończenie, dodał minister Zaleski, że o ile poszczególne fakty nadużyć zostaną stwierdzone, sprawcy ich będą ukarani, gdyż „rząd występować będzie zawsze przeciwko sprawcom wszelkich nadużyć, z jakiegokolwiek strony pochodziły“.

Tym sposobem incydent można byłoby uważać za wyczerpany. Curtius zabrał jednak głos jeszcze na sesji popołudniowej, wywołując tem, jak doniosły despesz, zdumienie i senność. Ta druga mowa była nietylko nudna, ale urągająca wszelkim, przyjętym przez Ligę obyczajom. Minister niemiecki podniósł w niej sprawę jakiegoś dyrektora niemieckiego, wydalonego z Polski. Słusznie na to odpowiedział p. Zaleski, że nie rozumie, jakim cudem mówi się przed forum Ligi o tym panu, który jest obywatelem Rzeszy, nie należącym do żadnej mniejszości. Curtius wspomniął zresztą i o księciu Pszczyńskim, który przybył do Genewy z reklamacją, o zaduży podatek ściągnięty przez Polskę z jego majątku! Ten incydent ożywił trochę nudę, gdyż owa wizyta jest traktowana, zarówno w dostojnym zgromadzeniu, jak i w mieście, jako temat do operetki.

Po tej sesji mówi się w Niemczech dużo o dymisji Curtiusa. Zapewne, że nacjonałiści nie będą z rezultatu obrad genewskich zadowoleni, ale co temu winien biedny minister? Można żądać od kogoś, aby o 12-iej w południe powiedział: teraz jest północ, ale nie można mieć do niego pretensji, że nie potrafił sprawić, aby mu uwierzono.

NAJMŁODSZE ASY KOBIECE

Kobiety w lotnictwie zdobywają tyle miejsca i tyle sukcesów, że napewno niedługo zrównają się na tem polu z mężczyznami. Nazwiska Amy Johnson, Winnifred Brown, Maryse Bastié, lady Bailey, Miss Spooner i tylu innych „asów“ kobiecych zna już cały świat. Obecnie dwie kobiety: Bobbie Trout (środkowa fotografia) i Edna Mac Cooper (u dołu na prawo) pobiły wszystkie rekordy długości przebywania w powietrzu, latały bowiem bez przerwy 122 godziny i 20 minut. Jednocześnie lotniczka niemiecka, Elli Beinhorn (u dołu na lewo) wystartowała do Afryki zachodniej. Panna Beinhorn, która za piękne loty otrzymała świeżo odznaczenie sportowe: srebrne godła lotnicze, leci przez Francję

południową, Hiszpanję, Marokko i Gwineję portugalską.

Mała rycina, powyżej panny Beinhorn, przedstawia Miss Spooner podczas rajdu awjonetek w Warszawie.



NASZA MÓWNIKA

Jak się zorganizowałyśmy.

— No, moja droga — powiedziałam do swego garnkotłuka. — Dziś musisz wyrzec się niesporów, bo ja wychodzę. Mie-wacie swoje zebrania częściej, niż potrzeba, oto i ja dziś idę na zebranie pań domu.

— A, Jezus! — zaniepokoiła się służąca. — Jakieś pańskie nowomodne sztuki! A wszystko, żeby ta biedna służońca ze wszystkim przycisnąć.

Rozpaliła ją jednak ciekawość, której nie chciałam zaspokoić. Machnęłam ręką wyzywająco i znikłam za drzwiami...

Zebranie zostało zwołane przez Komitet organizacyjny do lokalu Związku Literatów. Przyszłam o kwadrans wcześniej i... stanęłam zdumiona. Na korytarzu — tłumy! W kącie Środy Literackiej, a nawet dawniejsze imponujące imprezy w związku, z przyjazdem zagranicznych i warszawskich gości. Do sali wchodzić się niepodobna. Zalana po brzegi! Kobiety i kobiety! Gdzie nigdzie zabłąkany i osowiały osobnik rodzaju męskiego. Duszo, gorąco! Mdławo palą się jakby wystraszone lampki pod grzybkami abażurów. Na estradzie stoi zakłopotany prof. Ruszczyca, jeden z dzisiejszych prelegentów. Przedstawiciele i funkcjonariusze Radja z walizkami, patefonem, sznurami, pudełkami i mikrofonem robią wielkie z boku estrady zamieszanie.

Widzę jedną z organizatorek, dr. Janinę Rostkowską, mocno zaambarasowaną niespodziewanym i przedwczesnym natłokiem. Nawet kasy jeszcze nie było i obecni na sali panowie nie mieli komu zapłacić swoich pięćdziesięciu groszy (panie darmo!). Otrzymuję polecenie ściągania należności i wślaczam się tymczasem na estradę, żeby wesprzeć moralnie prof. Ruszczyca, który nie ma na czem usiąść.

Na sali — osoby nieznanne ze sfer najrozmaitszych. Ledwo gdzie nigdzie dostrzegam znajome panie, które dają mi oczyma rozpaczliwe znaki. Rozumiem je. Mają odwrót odcięty, a wtedy człowiek zawsze źle się czuje. Mimiką wyrażam im współczucie i nagle... ogarnia mnie zakłopotanie. Widzę, że publiczność zaczyna mi się przyglądać krytycznie, a nawet duże, tęgie i spoczone jejmoście dzielą się głośno uwagami.

— One myślą, że jesteś „model“ — parska śmiechem Ala Studnicka. — Bo przecież mają być pokazywane „żywe modele“.

Wystraszona, chowam się za wazon. Wogóle nie poznaję naszej sali. Jesteśmy we władzy ciekawych a podejrzliwych oczu kobiecych, dalekich twarzy, oczekujących czegoś ze skupioną stanowczością. A zacząć nie można, bo młodzieńcy w czarnych słuchawkach dają znaki, że audycja warszawska jeszcze się nie skończyła.

Nareszcie! Pani Rostkowska zaczyna zebranie. Mówi o tem, co jest na „szerokim świecie“, a jak się dzieje u nas. Porównanie, poparte przykładami, napędza ją żalem nad kobietą „tutejszą“, dla której prowadzenie gospodarstwa domowego jest, ze względu na prymitywność urządzeń, plagą. Maluje jaskrawo los „pań domu“, która musi być „wszystkiem“ w gospodarstwie, a której pracy nikt nie szanuje. Teraz oto i dla tych proletariuszek świta nadzieja lepszej przyszłości (widzę, że panowie, obecni na sali, zaczynają się niepokoić). Na wzór Warszawy, z 5 miesięcznym tylko opóźnieniem, Wilno zakłada Związek Pań Domu, a ponieważ będzie on miał na celu szczęście, zdrowie i poprawienie stanu materialnego domów naszych, więc i panowie przyjdą Związkowi z pomocą (panowie oddychają z ulgą — to nie bunt!).

Następnie profesor Ruszczyca, entuzjasta Wilna, podniósł mówi o pięknie tego miasta i jego okolic, wzywając panie domu do budzenia w domownikach swoich czci i uwielbienia dla skar-bów, które posiadamy.

Pani Aleksandrowiczowa, znana Wilnu z audycji radjo-

wych „Ciotka Albinowa“, przemawia parę „ciepłych słów“ do kobiet wileńskich, niemniej ciepło przez salę przyjętych. Atmosfera się rozgrzewa. Jeszcze referat pani Broniewiczowej o potrzebie zrzeszania się, i następny punkt programu — atrakcje.

Przeciskam się na korytarz, chcąc zdobyć należność od nielicznych panów. Panowie na korytarzu bronią się, że niby zaco?... Ze stoją przed salą i nie wiedzą, co się tam dzieje?... Ale dają. Do tamtych w sali dojść niepodobna. Wogóle już powrócić na salę nie mogę, stwierdzając raz jeszcze, że podobnego natłoku żądnych zrzeszania się kobiet jeszcze nie widziałam. Hm? Czy to słomiany ogień? Trudno teraz osądzić. Znajome panie, zgniecione, z przekrzywionymi kapeluszeniami, od czasu do czasu wynurzają się ze ściśniętej masy, szukając rozpaczliwie, a bezskutecznie, czegoś w rodzaju krzesła.

— Uf! co zanadto, to niezdrowo — mówi jedna! — Mam dosyć „zrzeszania się“. Idę do cukierni!

Głowa zaczyna mię boleć, ale trwam mężnie na stanowisku i składam swój akces do przyszłego Związku. Inne panie, na wyrwyki czynią to samo. Ależ to będzie siła! Wstępuje we mnie nadzieja lepszej przyszłości. Mój Boże! gdyby tak zdobyć maszynkę do przyszywania guzików, albo do cerowania pół-czoch! Albo, żeby tak... elektryczna służąca?! Samabym ją na noc wkładała do pudełka, żeby się nie zakurzyła... — rozmarzy-am się, wdychając serdecznie.

A w tej chwili właśnie na sali ukończono wybory Zarządu Związku. Szczęść Boże, nowemu Zarządowi! Niechże prowadzi Związek Pań Domu ku lepszej przyszłości, ku jaśniejszej doli, dla mnie i dla moich skołatanych siostrzyc, którym kłopoty dnia długiego i dotkliwego nie pozwalają zasnąć spokojnie wieczorem!

E. K. M. — Wilno.

Przymusowe rozwody.

Wiele się mówi obecnie o nędzy urzędniczej. Trudno, Polska jest nowem gospodarstwem, nie stać ją... budżet... Ale przynajmniej należałoby mieć pewne względy, choć te, moralnej natury, dla ludzi, którzy pracują poprostu ofiarnie i pracują ciężko, bo wiadomo: „biednemu wiatr w oczy!“ Kiedyś w „Bluszczu“ w „Mównicy“ poruszono sprawę: jakiś nieludzki zwierzchnik odmawia matce-nauczyciele kilkodniowego urlopu z powodu ciężkiej choroby dziecka. Ktoś się nawet oburzył, że czytelniczki „Bluszcza“ solidarnie nie wystąpiły przeciw owe-mu nieludzkiemu odmówieniu, choć, mój Boże! kto wie, czy ta nieszczęsna matka, która straciła dziecko, nie straciłaby posady, przy zbyt gorliwej interwencji.

Ale teraz zastanawia mnie fakt, który, przygodnie spotykam już raz drugi.

Zdarza się dosyć często, że pobierają się pary nauczycielskie. Ale oto jedno z małżonków zasłuży sobie na nielaskę zwierzchnika. Nie mówię, żeby taki był zawsze niewinnie uciśniony, rozumiem też, że szkodnik, żonaty czy nie, musi być usunięty. Ale tu chodzi o sprawę, widać nie bardzo ważną, bo laskawe władze ograniczają się do przeniesienia *jednego z małżonków* do innej szkoły; taki przymusowy rozwód trwa X lat. Ja sądzę, że zasadniczo tak robić nie należy: niszczy to gniazdo rodzinne. Ani małżonkom, ani szkole na dobre to nie wychodzi, bo współzycie rodzinne jest nałogiem i ludzie przymusowo wyrwani z tego nawyku, nie tylko cierpią, lecz niekiedy demoralizują się; więc zasadniczo małżeństw nie powinno się rozdzierać: przenosząc, przenosić oboje razem.

M. B. z Lubelskiego.

FALSZ I SZCZEROŚĆ W ŻYCIU TOWARZYSKIEM

Nieraz zdarzało mi się spotkać ze zdaniem, że człowiek dobrze wychowany nie może być szczery, zwłaszcza w towarzystwie. W rozpowszechnionym tym mniemaniu tai się pewna niecisłość, a mianowicie: człowiek dobrze wychowany nie powinien być *bezmysłnie* szczery. Nie wynika stąd bynajmniej, by miał być fałszywy, tylko powinien poprostu umieć czasem nałożyć hamulec na odruchy swej szczerości, zwłaszcza wtedy, kiedy ta szczerość może się stać źródłem czyjejś przykrości.

Przyzwyczajenie do drobnych, tak zwanych „niewinnych“ kłamstw w życiu towarzyskim jest, niestety, bardzo rozpowszechnione. Tak bardzo, że osoby, mające pretensję do dobrego wychowania, nie wahają się publicznie powątpiewać w prawdę czyichś słów, nie zdając sobie sprawy, że jest to obelga, wymagająca honorowego zadośćuczynienia. Są nawet i tacy, którzy uważają mówienie prawdy za przesadny purytanizm, graniczący z ekscentrycznością. Któż z nas nie miał wielokrotnie sposobności podsłuchania podobnego dialogu:

— Śliczny kapeluszek! Skąd go masz?

— Wyobraź sobie, udało mi się go kupić za psi pieniądź w fabryce filców.

— A fe! Poco się do tego przyznajesz? Trzeba było powiedzieć, że paryski, toby się wszyscy zachwycali... a tak będą krytykować.

Oczywiście, poco było mówić prawdę, skoro można było skłamać? Nikomuby to przecież nie zaszkodziło. Taka jest logika mnogich zastępów kawiarniano-posiedzeniowych paniuś, która doprowadza je do tego, że kłamią wprost odruchowo, nawet wtedy, kiedy korzystniej jest powiedzieć prawdę. Mówią, że spędziły lato na Jasnym Brzegu, choć liczni znajomi mieli nieraz sposobność oglądania ich w tym czasie w Milanówku. Lisa, kupionego na raty, demonstrują przyjaciółkom, jako wspomniały dar imienninowy od męża. Mężowi tegoż lisa podają za prezent od nieistniejącej ciotki. Wikłają się beznadziejnie w sieci własnych, niepotrzebnych kłamstw i dziwią się, że im wkońcu nikt nie wierzy, nawet wtedy, kiedy wypadkiem powiedzą prawdę.

Rezultatem tych pozornie „nieškodliwych“, niewinnych kłamstewek jest w pierwszym rzędzie osmieśzenie się i strata zaufania, zarówno w oczach bliskiego, jak i dalszego otoczenia. Osoba, mająca przyzwyczajenie kłamania w drobiazgach, musi stracić kredyt moralny i tam, gdzie chodzi o rzecz poważną.

Jest to jej strata osobista, wynikająca z miłego nawyku do „niewinnych“ kłamstewek. „Niewinne“ jej przyzwyczajenie szkodzi również i jej otoczeniu, przede wszystkim dlatego, że wprowadza je w błąd. Dama, przybyła z prowincji, usłyszawszy o zgrabnym, ładnym kapelusiku warszawianki, że kosztuje sto złotych i pochodzi z Paryża, będzie zbyt szczęśliwa, gdy zapłaci za podobny złotych sześćdziesiąt u modystki, umiejącej wyzyskać prowincjonalną łatwowierność. A tuż obok sklepu z witrą, w bramie, znajduje się skład fabryczny filców, gdzie można nabyć identyczny kapeluszek za złotych piętnaście lub dwadzieścia. Winę tego nieprodukcyjnego, może nadwyrażającego budżet przyjezdnej, wydatku, ponosi piękna pani, kłamiąca z przyzwyczajenia i bez potrzeby.

Uroczy zwyczaj kłamania miewa nieraz skutki

o wiele gorsze, niż narażanie na straty materialne łatwowiernych słuchaczy. Zwyczaj kłamania, przyjęty bezkrytycznie przez całe grupy ludzi, skądinąd miłych i towarzysko przyjemnych, podrywa wiarę w autorytet słowa ludzkiego, sprowadza je do zera. Dochodzi się do tego, że wkońcu nikt, w niczem, nikomu nie wierzy. Ani w to, że przyjdzie na umówioną godzinę do kawiarni, ani, że zwróci pożyczone pieniądze w oznaczonym terminie, ani też w to, że polecony przez niego pracownik jest uczciwym człowiekiem, ani że Y., przed którym nas ostrzegano, jest naprawdę złodziejem.

Słowo ludzkie nie ma żadnej wartości. Cytując w jakiejś sprawie zdanie człowieka ogólnie szanowanego, zawsze możemy się spotkać z lekceważącym:

— E, to się tylko tak mówi.

Nikt nie zadaje nawet sobie trudu sprawdzenia wartości czyichś słów, są one dosłownie rzucane na wiatr.

Podobny stosunek do słowa jest nietylko nieznośny i niewygodny, lecz i wysoce upokarzający, niedopuszczalny dla ludzi, mających poczucie godności człowieczeństwa. Aby go móc skutecznie zwalczać, należy sobie dobrze uprzytomnić, że przyzwyczajenie do kłamstwa, nawet pozornie nieszkodliwego, jest niechlujstwem moralnym, równie wstrętnym, a częstokroć groźniejszym w skutkach, niż niechlujstwo fizyczne. To przeświadczenie powinniśmy od najmłodszego wieku wpajać w dzieci, o ile chcemy je wychować na naprawdę uczciwych i zdrowych moralnie ludzi. Przedewszystkiem powinno się tępić w dzieciach przyzwyczajenie do samochwalstwa, które nieraz bywa zabawne u małych, u dorosłych jednak staje się potwornym kalectwem duchowym, którym dotknięte osobniki albo zostają wykluczone poza ramy zdrowego społeczeństwa, lub stają się jego pośmiewiskiem.

Myliłby się jednak bardzo ten, kto, unikając najdrobniejszych nawet kłamstw, czułby się obowiązany zawsze i wszędzie mówić prawdę. Bezwzględna, bezmyślna szczerość jest, jak to zaznaczyłam na wstępie, równie niemal szkodliwa, jak kłamstwo. Niepoprawni weredycy, znani ze swego zwyczaju mówienia t. zw. „prawdy w oczy“, przypominają mi źle wychowanych smarkaczy, którzy na widok nieznannej damy wrzeszczą:

— O, jaki ta ciocia ma czerwony nos!

Mówienie przykrych prawd stanowi podobno przywilej przyjaciół i „ludzi bliskich“ (ach, ci ludzie bliscy!), jednakże pragnąc zachować czyjąś przyjaźń powinno się jaknajbardziej używać tego przywileju. Właściwie powiedzenie komuś przykrej prawdy jest tylko wtedy dopuszczalne, o ile jest konieczne, aby go ustrzec przed jakimś nierozważnym krokiem. Mówienie bez określonej potrzeby, ot, tak, stwierdzając tylko oczywistość: — Jesteś brzydki, niezgrabny, nieśmiały, niezdolny etc... — jest nietylko znęcaniem się nad bezbronnym, który nie może tym prawdom zaprzeczyć, lecz stwarza podatny grunt do autosugestji in minus. Człowiek, któremu od dziecka wytykają jego szpetny nos, wkońcu fizycznie i psychicznie zmienia się w olbrzymi, potworny nos, który zarówno jemu samemu, jak i otoczeniu przeszkadza dojrzeć w nim zalety fizyczne i umysłowe. W takich wypadkach rola przyjaciela nie powinna polegać na stwierdzeniu, po raz nie wiem który, oczywistej prawdy o brzydkim nosie, lecz na zwróceniu przedstawicielowi brzydkiego nosa uwagi na niedoceniane przezeń zalety jego budowy, na barwę i kształt jego oczu, na urok uśmiechu, zbyt rzadkiego, niestety, na twarzy człowieka, podlegającego depresji, wreszcie na olbrzy-

nią skalę możliwości umysłowych, dostępnych nawet ludziom o najbrzydszych nosach.

— Ja bo zawsze jestem szczerą — mówi o sobie niejedna z pań, a po takim wstępie lustruje bez litości tualetę stremowanej debutantki, jadącej na pierwszy bal. Okazuje się, naturalnie, że kolor jest niemodny, krój za poważny, całość wygląda niezgrabnie i pretensjonalnie. Z sukienki, stanowiącej chlubę młodej osóbkę, jej mamy oraz krawcowej, a nieraz i rezultat paromiesięcznych oszczędności — zostaje nieforemna i szpecąca szmata.

Ale gdybyż to tylko na tem się skończyło, gdybyż to tylko suknia straciła na uroku! Ale bezwzględna krytyka „szczerzej przyjaciółki” zgasła błysk radości w oczach jadącej na bal panią, zabrała jej policzkom brzoskwiniowy rumieniec radosnego podniecenia. Gdyby wchodziła na salę pewna swej elegancji, promiennie uśmiechnięta, nikt (prócz może kilku zazdrosnych rywalek) nie byłby zauważył defektów sukienki, wszystkich oczarowałaby młodzieńcza radość życia i nieklamana świeżość. Wiedząc, że jest ubrana brzydko i niezgrabnie, panią stąpa nieśmiało, uśmiecha się z przymusem, wciąż coś poprawia i wygląda w detalach tualety, wciąż szuka swego odbicia w lustrach, aby się przekonać, czy naprawdę ubrana jest tak beznadziejnie. Robi wrażenie sztucznej, zmanierowanej, nie ma powodzenia, wróci do domu rozczarowana, rozgoryczona na świat i ludzi. A wszystkiemu winna jest owa niefortunnie szczerą dama.

— Więc miała skłamać, chwalać suknię, która się jej nie podoba?

— POCO? Wystarczyłoby przecie uściskać młodą dziewczynę, mówiąc jej serdecznie: — Ślicznie wyglądasz, kochanie! — Bo któraż dziewczyna nie wygląda ślicznie, wybierając się na pierwszy w życiu bal!?

Pierwszym warunkiem racjonalnie pojętej miłości bliźniego jest unikanie sprawienia mu niepotrzebnej przykrości.

Zgryźliwi hipochondrycy nie mogą znieść ludzi, prawdziwie dobrze wychowanych, mających zawsze dla każdego w pogotowiu jakieś miłe słówko, jakieś pochlebne spostrzeżenie. Nazywają ich „kłamcami i pochlebcami”, którzy każdej wstrętnej, starej babie gotowi powiedzieć: — Doskonale droga pani wygląda!

Tacy ludzie nie wiedzą, że człowiek istotnie dobrze wychowany nigdy sobie nie pozwoli nawet na pomyślenie o starszej kobiecie „wstrętą, stara baba”, bowiem widzi w niej rówieśnicę swojej matki i babki, które kocha i szanuje.

Ciż sami hipochondrycy zwykli dopatrywać fałszu, wołającego o pomstę do Boga, w zwykłych, grzecznościowych formułkach towarzyskich, jak: — Byliśmy rozpaczeni, że państwo nas nie zastali w domu! — albo: taka jestem szczęśliwa, że panią widzę!

Zapewne lepiej, bo zgodniej z prawdą, byłoby powiedzieć: — Było nam *bardzo przykro*, że państwo nas nie zastali w domu — i: — taka jestem *rada*, że panią widzę. — Należy zawsze i we wszystkim unikać przesady, ale lekka przesada nie stanowi niezbitego dowodu fałszywości uczuć, jak to lubią insynuować ludzie zbyt wygodni na to, aby zadać sobie fatygę bycia uprzejmymi.

Okolicznością łagodzącą winy oskarżonych o brzydkie przyzwyczajenie do kłamstwa jest niedyskrecja otoczenia. Wprawdzie najwytworniejszy szermierz dialogu salonowego, Oscar Wilde, mawiał, że niema niedyskretnych pytań, tylko niedyskretne odpowiedzi; my wszyscy, skromni śmiertelnicy, wiemy, nauczeni smutnym doświadczeniem, że zdarzają się tak

ostre ataki natarczywie niedyskretnych zapytań, że schronić się przed niemi skutecznie można jedynie do fortecy sprytnie obmyślonemu kłamstwu. Oczywiście, ludzie niedyskretni nie mają najmniejszego prawa liczyć na to, że się im odpowie prawdę, ani nawet na to, że się im wogóle odpowie. Natrętom, wdzierającym się przemocą w tajniki cudzego życia osobistego, zdarza się nieraz oberwać ostrą nauczkę i jest ona zawsze aż nadto zasłużona.

Znałam dobrze już wiekową matronę, która, zapytywana o wiek, zawsze odpowiadała, uśmiechając się przytem pobłaźliwie:

— Trzydzieści lat... już skończyłam.

Nie popełniała kłamstwa, bowiem trzydziesta wiosna jej życia dawno już była w istocie miniona; nie odmawiała wprost odpowiedzi, lekko tylko dając natrętowi do zrozumienia, że uważa jego pytanie za nietaktowne i niewłaściwe. Zapytywanie kobiety o wiek, zwłaszcza w większym towarzystwie, jest wielką niedelikatnością. Przyjęcie jej odpowiedzi powątpiewajacem: czyżby?! — ordynarnem grubijaństwem. Z wielką przykrością stwierdzam, iż podobne niedelikatności i grubijaństwa są w polskim towarzystwie powojennem na porządku dziennym.

Większa szczerokość, naturalność i swoboda w obyczajach towarzyskich po wojnie jest niewątpliwie cenną zdobyczą, ale najdalej idąca naturalność nie powinna wykluczać delikatności. Nie wolno jest zapytywać ludzi mało znajomych o ich skomplikowane przejścia matrymonjalne. („Dlaczego pani się właściwie rozwodzi? Czy to mąż panią rzucił, czy też pani jego?”) — nie wolno pytać starszego pana, dlaczego czerni sobie wasy, ani zabójczo żółtej blondynki, poco się tleni, kiedy to i tak jej nie odmłodzi. Człowiek, prawdziwie dobrze wychowany, nie powinien po sobie okazać, że coś słyszał o drażliwych przejściach rodzinnych osoby, z którą rozmawia, ani, że dostrzega daremność jej usiłowań w kierunku odmłodzenia się i upiększenia. Nie będzie to z jego strony dowodem nieszczerokości, tylko właśnie dyskrecji w słowach i spojrzeniach.

Jadroiga Kieronarska.

ŚLUBY I PRZYJĘCIA WESELNE

W urządzaniu przyjęć weselnych wprowadza się — jak zresztą we wszystkich dziedzinach życia — zmiany, chodzące w parze z nastrojem oszczędnościowym, który narzuca nam chwila bieżąca.

Wprawdzie ślub o zmkroku — ślub w śnieżnych jedwabiach i zwojach przezroczonego welonu — był, jest i będzie marzeniem każdej panny młodej, jednakże pociąga on za sobą tak poważne koszty, że, pomimo niezaprzeczonego uroku i łez, jakimi oblewa się konieczność wyrzeczenia się go — głos rozsądku bierze górę, a paradny ślub wieczorny zmienia się w skromną ranną ceremonję.

Ponieważ „na czasie” będzie omówienie ślubu jak najskromniejszego, rozpoczniemy od takiego, który finansują samodzielnie już państwo młodzi i to finansują ze swoich skromnych funduszków, lub mozołnie składanych oszczędności.

Panna młoda występuje w kostjumie, na który zarzuca futro, lub eleganckie ciepłe okrycie. Kostjum ślubny powinien być popielaty o jasnym, perłowym odcieniu; wszystkie szczegóły tualetowe harmonizują z nim barwą, a więc: popielata bluzeczka z żorzety, lub crêpe de chine'u; popielaty filcowy, lub weluro-

wy kapelusik; popielaty woreczek, pończoszki i zamszowe popielate pantofelki. Biała butoniera i białe rękawiczki — oto wykwintny strój ślubny, który ma tę niezastapioną zaletę, że z chwilą, gdy uśmiechnie się do młodej pani wiosenne słońce, będzie mógł służyć jej za elegancki strój spacerowy. Pan młody w czarnym, lub ciemnym marynarkowym ubraniu, o typie wizytowym; koszula biała, sztywny kołnierzyk i sztywne mankiety; krawat popielato-czarny (zakietowy), czarne jedwabne pończochy i lakierowane półbuty.

Idąc do ołtarza, państwo młodzi zdejmują wierzchnie okrycia i pozostają: ona — w kostjumie, on — w garniturze.

Orszak takiego ślubu składa się z nielicznych osób najbliższych, lub tylko z dwóch zaproszonych świadków.

Najpraktyczniejszym i najmilszym typem przyjęcia będzie elegancki five o'clock, urządzony pomiędzy 5 — 7 p. p. u rodziców panny młodej, albo u bliskich krewnych, czy przyjaciół.

Przyjęcie „słodkie”: torty, drobne ciasteczka, owoce, wino węgierskie, czarna kawa; można też podać herbatę, bardzo eleganckie maleńkie tartinki, a później dopiero słodycze.

Jeżeli przyjęcie się przeciąga, matka panny młodej lub pana młodego, albo osoba, zastępująca ją, odwozi młodą parę od jej mieszkania, gdzie zgodnie z tradycją powinien ktoś z bliskich przyjąć ich chlebem, solą i cukrem, który ma być zapowiedzią „słodkiego”, czyli pomyślnego i pełnego dobrego porozumienia pożycia.

Ślub w godzinach południowych (12 w południe) zalicza się już do nieco wystawniejszych; nawet dla bardzo eleganckich ślubów obiera się nieraz godzinę południową.

Panna młoda idzie do ołtarza również w kostjumie, lub w eleganckiej sukni z matowego jedwabiu, weluru, czy wyciernej wełny, również w popielatym kolorze. Popielate okrycie, przybrane futrem, albo płaszcz futrzany. Pan młody w zakietowym garniturze, białej, sztywnej bieliźnie, lakierowanym obuwu. Okrycie czarne spacerowe, szal i rękawiczki białe, kapelusz sztywny czarny. Panie z orszaku w sukniach wizytowych i eleganckich okryciach; panowie w garniturach zakietowych albo marynarkowych o typie wizytowym (czarnych). Pan młody staje u ołtarza bez okrycia — panna młoda w kostjumie, lub eleganckim jasnym okryciu (koloru kostjumu, lub sukni). Przyjęcie — to zazwyczaj drugie śniadanie o typie, zwanym „dêjeuner dînatoire”, jadłospis może być skromny lub wykwintny; w każdym razie trzeba, układając go, rządzić się prawidłami specjalnymi, przystosowanymi do tego rodzaju posiłków.

Uwzględniając budżety o nierównomiernej rozciągłości, podaję trzy jadłospisy (od najwykwintniejszego do skromnego):

I.

Na 15 minut przed podaniem śniadania służba roznosi (w salonie) silnie zamrożone cock taile w szklanych puharkach.

ŚNIADANIE.

Zupa — krem w filiżankach.

Paszteciki (diablotki) z francuskiego ciasta.

Wino Madera.

Łosoś z wody z masłem i cytryną.

Wino białe francuskie (Bordeaux).

Polędwice wołowe po angielsku — kartofelki „pommes pailles”, sałata zielona.

Wino francuskie (Burgund) białe i czerwone.

Szparagi z wody — sos mousseline.

Bażanty z kompotem, albo indyki z kasztanami — kompoty.

Wino — szampan mrożony.

Lody.

Po przejściu do salonu — czarna kawa, koniak, likiery, torty, owoce, cukry, stary węgrzyn.

II.

Zupa-krem w filiżankach — paszteciki francuskie.

Sandacz po parysku (zapekany z pieczarkami).

Białe wino francuskie.

Combry sarnie — krokiety z kartofli — sałata.

Wino francuskie białe i czerwone.

Krem mrożony z owocami.

Czarna kawa — likiery.

Torty i owoce — wino węgierskie.

III.

Buljon w filiżankach z pasztecikami.

Szynka na gorąco z groszkiem zielonym.

Wino krajowe białe i czerwone.

Perliczki z kompotem.

Tort hiszpański.

Czarna kawa.

Ślub wieczorny (godz. 5 p. p.) wymaga już stroju ślubnego, dostosowanego do wszelkich prawideł. Biała tualeta jedwabna panny młodej z długim trenem, welon z iluzji, lub koronki, pantofelki z tego samego materiału, co suknia, białe rękawiczki, białe okrycie. Przekorna moda, która zaznacza swe panowanie we wszystkich dziedzinach życia, wprowadza też pewne zmiany w prawidłach, jakim podporządkowuje się strój panny młodej i orszaku. Parę lat temu starała się zakłócić nieskazitelną biel stroju ślubnego fantazyjnymi srebrnymi dodatkami; dzisiaj rezygnuje z tych ekscentrycznych zarządzeń, natomiast skreśla kwiat pomarańczowy, zastępując go świeżymi lub sztucznymi białymi kameljami, gardenjami, różami, konwaljami, zalecając zharmonizowanie wiązanki świeżych kwiatów (bukietu ślubnego) z butonierą. Stroju panny młodej dopełnia okrycie (zarzutka) białe, przybrane futrem, również białem.

Tak ubranej pannie młodej towarzyszy pan młody we fraku. Panie w orszaku ślubnym są ubrane wieczorowo, lub balowo (zależnie od przyjęcia, jakie wydają rodzice panny młodej); panowie we frakach, młodzi ludzie mogą być w smokingach. Wojskowi w galowych mundurach.

Pewną inowacją jest też skreślenie zakazu czerni. Przesąd, jaki był przywiązany do „czarnej tualety”, wykluczał ją z orszaku ślubnego. Tymczasem dzisiaj kolekcje weselne demonstrują przeszliczne tualety, przeznaczone dla matki panny młodej, a wykonane z czarnych koronek, czarnego jedwabnego muślinu, znaczonego arabeskami srebrnych nitek. Ta z modnych najmodniejsza w bieżącym sezonie czarna tualeta, z dodatkiem blado-różowych, białych, lub srebrnych ozdób, po raz pierwszy wkracza triumfalnie w krąg orszaku ślubnego.

Orszak ślubny udaje się wprost z kościoła do domu rodziców panny młodej, lub do lokalu, w którym wydawane jest przyjęcie weselne (pierwszorządne hotele mają zazwyczaj tak zwane salony recepcyjne); tam oczekują na młodą parę, którą przyjmują szampanem.

Obiad weselny wymaga stołu, pięknie dekorowanego białymi kwiatami; najmodniejsze jest oświetlenie stołu kandelabrami. Przed każdym nakryciem powinno znajdować się menu litografowane na kartkach

glansowanego bristolu. Jadłospis bywa zazwyczaj obfity i bardzo wykwintny; różni się on od wykwintnego drugiego śniadania tem, że poprzedzają go przekąski, lub małeńkie tartinki, konjak, wódki, nalewki, które podaje się na pół godziny, lub na godzinę przed obiadem. Charakterystyczną różnicą jest też podanie zupy na talerzach, nie w filizankach.

OBIAD WESELNY.

Przekąski — konjak, nalewki, wódki.
Vol-au-vent z pulard z pieczarkami we francuskim cieście.

Zupa z ogonów wołowych.

Wino: Oporto białe.

Łosoś z wody — sos holenderski.

Wino: Bordeaux (francuskie) białe.

Combry sarnie — sos „groseille“ — krokiety z kartofli.

Wino: Burgund biały i czerwony.

Szparagi z masłem — karczochy („fonds d'artichauts“) z groszkiem zielonym.

Bażanty z kompotem.

Szampan mrożony.

Melba z owocami, albo lody.

Czarna kawa, konjak, likiery.

Okolo północy, albo pomiędzy 1 — 2 po północy, jeżeli zabawa taneczna dłużej się przeciąga, podaje się cukrową kolację, której zorganizowanie obowiązuje pana młodego. W skład cukrowej kolacji, wchodzi: torty, cukry, owoce, sałaty ze świeżych owoców, stary węgryz, wino szampańskie.

Po cukrowej kolacji państwo młodzi wyjeżdżają do siebie, co nie obowiązuje gości do rozejścia się.

Jeżeli młoda para bezpośrednio po przyjęciu weselnym wyjeżdża w podróż poślubną, goście z orszaku odprowadzają ją na kolej w strojach weselnych.

Obowiązkiem młodych małżonków jest, z chwilą, gdy zaczną składać poślubne wizyty (mniej więcej w sześć tygodni po ślubie), złożyć wizyty wszystkim parom małżeńskim, lub paniom, które były na przyjęciu weselnym, nawet gdyby nie mieli zamiaru podtrzymywać z nimi nadal zażyłych stosunków.

Wanda Dobrzańska.

OBWARZANKI A HIGJENA

Gdy zmierzch zapada, „a światła latarń zapłoną“, na wszystkich ulicach, uliczkach, zaułkach Warszawy wyrastają, jak z pod ziemi, bliźniaczo podobne do siebie grupy. Jakby wyszły z jednego odlewu: pod murem baba, okutana w przeróżne chusty, chusteczki, chusteczki i szaliki, a przed babą kosz, wypełniony po brzegi bransoletami, misternie kręconymi z rdzawego złota — najmodniejszą biżuterją wieczorną stolicy. Oboje (i baba i kosz) stoją wprost na błocie, na śniegu, na gołym asfalcie lub betonie, pod deszczem, szarugą, śniegiem, kłębam dymu lub kurzu — jak się zdarzy. A nad „koszem szczęścia“ zmęczony, często zachrypły głos intonuje uliczne suplikacje:

— Obwarzanki świeże, wieczorowe! po dziesięć groszy sztuka!

Tuż obok za błyszczącymi szybami piekarni złącza się dobrze wypieczone róże kajzerek, kokietyrnie wyginają smukłą kibić zgrabne rogaliki, brązową pierś dumnie wydymają starannie plecione chałki. Kupują je ci, którzy naprawdę chcą zaopatrzyć się w pieczywo. Obwarzanki z kosza kupuje się mimochodem, czasem przypadkowo, odniechceni, tak, jak się kupuje pęczek fiołków na wiosnę od ulicznej kwia-

ciarki. Po kilku godzinach kosze się wypróżniają, a kieszenie sprzedawczyń pęcznieją od dziesięciogroszówek.

Obwarzanki, jak koła fortuny, potoczyły się po mieście. Zawędrowały na wszystkie pietra kamienicy, przy której bramie, jak u wrót raj, czatowała baba z koszem, czujna na najłżejszy popłoch, zwiastujący ukazanie się posterunkowego. Ale „pan posterunkowy“ goni baby jakby odniechceni; rozumie, że naród bezrobotny też żyć musi; nie każda zdatna do łopaty, śnieg zgarniać, i nie codziennie Pan Bóg daje zamieć, jak się patrzy.

I kwitnie sobie ów handel obwarzankowy, jak zimowy kwiat pod podwójną fontanną: od góry opady atmosferyczne, skrupulatnie notowane przez P. I. M., od dołu odpryski błota ulicznego, nie notowane nigdzie, ale zostawiające wymowne ślady w kronice epidemji duru brzuszego, czerwonki, grypy i innych miłych choróbek, nawiedzających stale stolicę, pomimo „surowo przestrzeganych przepisów higieny“.

Publiczność nasza jest odważna, a do demokratycznych zasad higieny odnosi się z arystokratyczną nonszalancją. Doktorów słucha dopiero, gdy zachoruje. W medycynę wierzy, gdy trzeba banki postawić, zrobić analizę krwi, albo wyciąć wyrostek robaczkowy. Ale obwarzanek — to nie ślepa kiszka. Co doktorowi do niego? Niech „chorej kasy“ pilnuje.

A zatem — precz z higieną! Niech żyje wolny handel wiktuałami na otwartem powietrzu!

Tak podświadomie rozumuje ulica.

A teraz zajrzyjmy do pierwszorzędných sklepów, urządzonych według najnowszych przepisów higieny.

Obrazek z natury. Wnętrze składu Towarzystwa Mleczarskiego. Czystość idealna. Ściany, szafy i lady wylakierowane na białą. Panny sprzedające w białych fartuchach i czepeczkach. Produkty oddzielone od publiczności szklanymi płytami. Izolacja napozór zupełna. Ale między szklanymi gablotkami z serem, jajami, masłem, pieczywem i wędliną jest luka, w której odbywa się krajanie, ważenie i pakowanie towaru. W tej luce, może dla zachęcenia publiczności, umieszczono dwa „przeboje“ gastronomiczne: apetyczny pasztet ze zwierzyny, widać świeżo przysłany ze wsi, i ciemno-purpurowy ser jabłeczny, rzadki przysmak, zdrowszy od cukierniczych marmeladek. Można im się przyjrzeć zbliska, można nawet powąchać. Tylko, jak śpiewa Krukowski: „tego nie wolno brać do ręki!“. Mam wielką ochotę kupić sobie na próbę po dziesięć deka i pasztetu i sera. Przy okienku ścisk. Czeka swojej kolei. Tymczasem jakaś jejmość zawisła nad pasztetem i zanosi się od kaszlu. Nie przyjdzie jej nawet do głowy odwrócić się, albo zasłonić chusteczką. Owszem, wyjmuję z torebki chusteczkę. Ale jaką! wielkie nieba! Rozwija ją o kilka centymetrów nad pasztetem. Hałaśliwie i obficie wyciera nos. Dłużej nie patrzę, nie mam sił. Robi mi się niedobrze.

— Czego pani sobie życzy? — zapytuje uprzejmie panienska w niepokalanie białym fartuchu.

— Chciałam kupić pasztetu — odpowiadam — ale już nie kupię. Dziękuję za pasztet z grypą.

— Z jaką grypą? — woła z przerażeniem panienska. — My mamy towar gwarantowany.

— Ale publiczność niegwarantowaną — odpowiadam. — Przed chwilą ta pani wykasłała się nad pasztetem i nikt jej w tem nie przeszkodził.

Panienska zmieszała się. Nie miała odwagi zwrócić uwagę klientce. Ale nie usunęła pasztetu z fatalnie eksponowanej pozycji. Widziałam, jak zniknął stopniowo, w ciągu paru dni umniejszany wprawniemi cięciami noża.

Doskonała pożywka dla bakteryj!

Angelo.

LĘGI DROBIU

Czas rozpoczynania lęgów drobiu w przeciętnym gospodarstwie, które nie posiada ani inkubatorów, ani specjalnie urządzonych wychowalni, zależy przede wszystkim od przebiegu zimy. Jeśli zima jest łagodna i można się spodziewać wczesnej wiosny, śpieszymy się z nasadzeniem nasiatek, gdyż pierwsze lęgi przynoszą największy dochód, a kurczęta wczesne przedstawiają największą wartość, jako materiał hodowlany.

Dobre wyniki lęgów zależą od szeregu warunków: jeśli mamy za dużą lub za małą ilość samców w naszych stadkach, otrzymamy znaczny procent jaj niezaplodnionych. W jajach, które pochodzą od zbyt młodych niosek, albo gdzie samce są stare lub nieodpowiednie, mamy zarodki bardzo słabe, to też nieumiejętne zestawienie stadek rozplodowych jest często przyczyną zamierania zarodków w jajach.

Nie mniej ważnym warunkiem dobrego wyniku lęgów jest wybór odpowiednich jaj. Jaja wylęgowe muszą być świeże, nie starsze, niż 14 dniowe, przed podłożeniem pod kwoki przechowywane w niskiej temperaturze (nie wyżej 10°C). Jaja o kształcie nienormalnym, zbyt wydłużone albo okrągłe, nie nadają się do wylęgu. Odrzucamy również zbyt wielkie, albo za małe dla danego gatunku ptaków.

Podkładając jaja pod nasiadki, należy przeglądać je pod światło i odrzucać jaja o nieprawidłowym położeniu komory powietrznej. Komora powietrzna znajduje się w tępych końcu jaja; jeśli w wyjątkowych wypadkach jest przesunięta w drugi, ostry koniec albo środek jaja, to kurczę nie może się wykluć. Specjalnie przy podkładaniu jaj kurzych i kaczyc zwracamy uwagę na porowatość skorupki. Jaja w skorupkach bardzo porowatych z reguły są niezaplodnione, lub kurczaki z nich się nie wykluwają. Skorupkę nadmiernie cienką, grubą lub ze zgrubieniami również uważamy za nienormalną.

Najczęściej nasadzamy na jaja kury lub indyczki. Jeśli kura sama nie zacznie „kwokać“, nie zmusimy jej do wysiadania; natomiast każdą indyczkę można zmusić do siedzenia od października, mniej więcej do połowy lutego. W późniejszych miesiącach następuje zwykle okres popędu płciowego i indyczka rozpoczyna się nieść. Jako nasiadka, jest ona i pod tym względem wygodna, że możemy jej podkładać od razu znacznie większe ilości jaj, a później jest troskliwą matką dla piskląt.

Zmuszenie indyczki do wysiadania jest bardzo łatwe. Wystarczy na przygotowanym gnieździe podłożyć parę jaj porcelanowych, czy zwykłych, przeznaczonych na wypróbowanie, posadzić indyczkę i nakryć jakimś koszem w ten sposób, aby ptak nie mógł się podnieść, lecz siedział na jajach. Zwykle po 4, 5 dniach indyczka już siedzi spokojnie, a zdejmowana z gniazda do karmienia, sama nań wraca. W późniejszych miesiącach, wiosennych nie można zmusić indyczek do wysiadania, jeśli same nie okazują chęci do tego.

Co do kur, to z reguły kury ras ciężkich, mięsnych, są dobrymi nasiadkami; ras lekkich — niepewnymi. Należy przytem pamiętać, że młode, roczne kury źle wysiadują.

Z gęsi zwykle tylko krajowe są dobrymi matkami; gęsi i kaczek ras zagranicznych nie nasadzamy na jaja. Najpraktyczniej jest, zanim podłożymy na-

siadce jakiegokolwiek gatunku, przeznaczone do wylęgu jaja, wypróbować jej chęć siedzenia, podkładając parę jaj innych, lub porcelanowych; jeśli zaś przez 3, 4 dni jaja będą pieczołowicie ogrzewane, można te usunąć, a podłożyć właściwe.

Nieraz indyczka lub kura zaziębia jaja, gdyż podkładamy ich zawiele. Trudno ustalić dokładnie, jaką ilość jaj można podkładać, zależy to od ich wielkości i wielkości nasiadki. Pod średniej wielkości kwokę kładziemy najwyżej 18 średnich jaj kurzych, 5 gęsich, 10 kaczyc, 8 indyczych; pod indyczkę do 25 kurzych, 15 — 16 szt. jaj własnych lub kaczyc. Gospodynie, które starają się jaknajwięcej jaj nasiadce podłożyć, zwykle tracą na tem, gdyż część jaj przepada.

Kwoka, czy indyczka, nasadzana na jaja, musi być zdrowa i wolna od pasożytów. Jeśli ma biegunkę lub wapniak, nie powinniśmy nasadzać na jaja, póki jej nie wyleczymy. Jako środek zapobiegawczy przeciw pasożytom skóry i piór, przesypujemy pióra nasiadki i słomę w gnieździe proszkiem perskim lub siarką sproszkowaną.

Gniazda robimy ze zwykłych skrzynek lub koszyków, wyścielając słomą (najlepiej owsianą), nigdy sianem, i to w ten sposób, aby jaja leżały na jednej powierzchni. Jeśli układamy słomę, robiąc specjalne wgłębienie, jaja się staczają jedne na drugie i są nierównomiernie grzane. W gniazdach, przeznaczonych do wylęgu jaj gęsich i kaczyc, trzeba na dnie pod słomą ułożyć darni, gdyż to zapewnia potrzebną wilgoć.

Należy zwrócić uwagę na miejsce, gdzie umieszczamy nasiadki na jajach. Najodpowiedniejsza temperatura — około 12°C.; światło przyciemnione. Należy unikać niepokojenia ptaków; obecność psów lub szczurów często je płoszy i odstrasza od wysiadania. W dobrych warunkach, dobra kwoka, gęś czy indyczka, wysiadując, nie schodzi z jaj. Raz na dobę trzeba ją zdjąć, czy spędzić, dać wody do picia i ziarna. Żadnej innej karmy po za ziarnem. Następnie pozwolić się oczyścić i mniej więcej po 20 minutach posadzić z powrotem na jaja. W ciągu tych 20 min. jaj niczem nie przykrywać, aby się trochę przewietrzyły. Jeśli przypadkiem jajo zostanie zabrudzone, należy je ostrożnie letnią wodą obmyć i, nie wycierając, położyć z powrotem.

Do ostatniego dnia możliwie jaknajmniej jaja ruszać. W czasie całego lęgu przeglądamy je dwa razy pod światło lampy zwykłej, lub specjalnie w tym celu zrobionej. Jest to t. zw. prześwietlanie jaj, a lampy, służące do tego, nazywamy owoskopami. Jaja kurze prześwietlamy pierwszy raz 7-go dnia i wtedy w jajach zapłodnionych widzimy wyraźne ruchome ciemne punkty, lub zmętnienie całej zawartości jaja. Jaja niezaplodnione są przejrzyste. Te „czyste“ jaja należy odrzucić. U jaj kaczyc i gęsich ten sam obraz widzimy 9 dnia, u indyczych 8-go. Drugi raz prześwietlamy jaja na tydzień przed wykluciem. Jaja z normalnie rozwijającymi się zarodkami powinny być wypełnione nieruchomą, ciemną zawartością, z wyraźnie odcinającą się komorą powietrzną. Jaja, w których zarodki zamarły, należy odrzucić.

Wyląg kurcząt następuje 21-go dnia, kaczek — 28-go, gęsi — 28-go, a indyczek — 26-go. Czasem niska temperatura lub branie starych jaj do wylęgu opóźnia o dzień, dwa, klucie się piskląt. W czasie klucia się specjalnie należy unikać niepokojenia nasiadki. Gdy większość piskląt wydostanie się z jaj, można rozbite skorupki usunąć; pisklęta najlepiej zostawić w gnieździe, gdyż przez 24 godziny potrzebny im jest tylko spokój i ciepło matki.



Przed Oddziałem Miejskim
firmy

MARCONI

w/m., Marszałkowska 142

stoją tłumy.

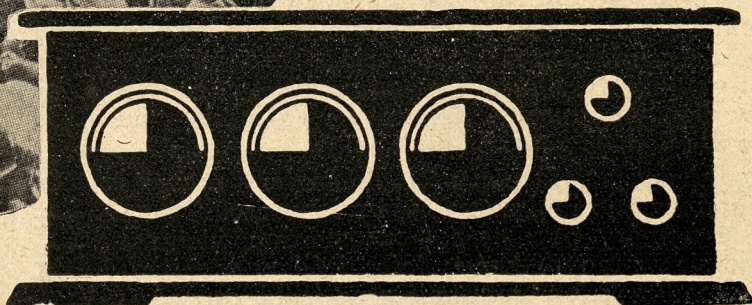
Dlaczego?

Ponieważ słuchają audycji
podawanych przy pomocy
najlepszego radjoodbiornika,
sławnej EKRADYNY.

Znak fabryczny



Żądajcie bezpłatnych ofert



NAKRYWANIE I PODAWANIE DO STOŁU

Do pierwszego i drugiego śniadania i do podwieczorku używa się, jak dawniej, bielizny kolorowej. Ponieważ bielizna bawełniana nieładnie się pierze i, jako niemająca połysku, na stole nieładnie wygląda, a lniana obecnie jest nie dla każdej kieszeni dostępna, można sobie zrobić śliczne obrusy i serwetki z grubego, niebielonego, włościańskiego płótna-samodziału, mereżkując je w ładne desenie, bądź ozdabiając niciani wstawkami, koronkowymi motywami i obszywając wkóło odpowiedniego deseni koronką. Białe koronki, wstawione do szarego płótna, również ładnie wyglądają, zresztą samo płótno szare po wielu praniach zbieleje. Ślicznie też wyglądają takie obrusy i serwetki, haftowane kolorową bawełną. Należy brać na ten użytek najlepszą, niespierającą się bawełnę D. M. C.

Do drugiego śniadania używamy zwykłego naczyń, jak do obiadu i kolacji. Do pierwszego śniadania i do podwieczorka weszły bardzo w użycie serwisy grube, fajansowe, bajecznie kolorowe. Nie są one zbyt mocne i nie zawsze można do nich dobrać brakujące sztuki. Ponieważ jednak są bardzo tanie i szczególnie latem, na powietrzu, bawią oko, należy tę nowość mile powitać.

To, co powiedziałam o porcelanie (mówię wszędzie o porcelanie, gdyż fajans jest od niej o tyle mniej mocny, czyli o tyle więcej sztuk się bije, że różnica ceny prędko zostanie pokryta), odnosi się także do

szkła. Wszelkie szkła rżnięte, o deseniach matowych, złoceniach i t. p. należy pozostawić do specjalnych okazji, do rzadkiego użytku. Tak modne obecnie szkła kolorowe, złoto-żółte, blado-niebieskie, ametystowe — ślicznie wyglądają przy porcelanie, odpowiednio do nich dobranej. Szkło opalizujące pasuje do każdego ładnego serwisu. Na codzień używajmy szkła białego, gładkiego, o kształtach powszechnie w handlu się znajdujących, a zatem łatwych do dobrania.

Grube szkło lane, ostatnimi czasy nawet ładne wzory kryształów rżniętych naśladowujące, tylko pozornie jest mocniejsze. Przy użyciu gorącej wody do zmywania — a któż jest w stanie upilnować, aby takiej wody w kuchni nie użyto? — łatwo pęka.

Dużych szklanek, dawniej do piwa i wody używanych, dzisiaj się na stół nie stawia: zastąpiły je w zupełności wąskie szampanki. W domach, gdzie się pija piwo przy posiłkach, dobrze mieć całe platerowane, lub drewniane z platerowanym brzegiem podstawki. Chroni to obrus i politurę stołu od płam z przelewającej się przez brzegi szklanki piany. Podstawki takie są jeszcze bardziej użyteczne przy nalewaniu wina czerwonego, z którego płamy z wielką trudnością wyprać się dają, a nieraz przez kilka kolejnych prąń nie puszczają. Jednak nawet przy użyciu choćby najskromniejszego szkła należy uważać, aby wszystkie kieliszki do wódki i do wina miały jeden kształt, a różniły się tylko rozmiarami. Karafki do wody, kwasu,

ewentualnie do piwa i win zwykłych, stołowych, powinny być dobrane kolorem i gatunkiem do reszty szklanego serwisu.

Muszę jeszcze raz wrócić do nakrycia stołu obrusami, lub ich namiastkami. Przedewszystkiem zapomniałam zupełnie o tak modnych dzisiaj obrusach i serwetach jedwabnych. U nas, w Polsce, należą one jeszcze do przedmiotów zbytku. Zagranicą nie są wcale droższe od obrusów lnianych, a stanowczo wiele tańsze od wykoronkowanych i wyhaftowanych batystowych. Ponieważ są one kolorowe, używa się ich do podwieczorków — noszą one nazwę garniturów bridge'owych. Są dosyć praktyczne i łatwo się piorą.

Kto chce stosować modne nakrycia, składające się z niedużych serwetek, podkładanych pod każdy talerz, i jeszcze mniejszych — pod kieliszki, talerzyki kompotowe i t. p., musi dbać o to, aby politura stołu była bez zarzutu i każdą, najmniejszą plamkę natychmiast zapolerować. Jeżeli stół jest rozsuwany, szczylinę na blacie należy przykryć długim laufrem o denieniu, dobranym do serwetek.

Łatwiejsze od polerowanych do utrzymania w porządku są stoły dębowe i orzechowe woskowane; tutaj wełniana szmatka i odrobina zaprawy do podłogi, odrazu wszelkie plamy usunie. Niestety, koronkowe płatki, stanowiące nakrycie, nigdy na nich tak efektywnie nie wyglądają, jak na lustrzanej powierzchni palisandru lub mahoniu.

Nieduże stoły okrągłe lub owalne można kazać pokryć grubym szkłem przezroczystym. Wygląda to ładnie, jest łatwe do utrzymania w czystości i praktyczne — o ile się nie zbije.

Wogóle wszelkie rodzaje nakrycia są dobre, o ile są gustowne i czyste. Tam, gdzie tę czystość zachować trudno, gdzie jest, na przykład, kilkoro małych dzieci, siadających z dorosłymi do stołu, należy wrócić do nieładnej, lecz praktycznej ceraty, kładąc ładne ceratki pod nakryciami milusińskich, bądź pokrywając ceratą cały stół — byle ta cerata była biała, a nie kolorowa, co już jest ohydne.

Najładniejszą ozdobę stołu stanowią zawsze kwiaty, wiosną i latem cięte, zimą — w doniczkach. Niestety, zimą nawet doniczkowe, często zmieniane, są nie dla wszystkich dostępne. Można je zastąpić ładnym bukietem gałęzi drzew iglastych, liści mahoniu i t. p. — byle nie kwiatami sztucznymi, papierowymi czy batystowymi, których użycie zawsze fatalnie świadczy o guście, a raczej o braku gusty gospodyni domu.

Jeżeli mamy używać kwiatów sztucznych, to już niech będą one zupełnie do prawdziwych kwiatów niepodobne. Śliczne i bardzo modne są kwiaty z papieru celuloidowego, przy świetle słonecznym, lub mocnym sztucznym wyglądające, jak motyle, które na chwilę spoczęły na srebrnych gałązkach. Kwiaty takie dają się nawet myć zwykłą wodą, jeżeli na nich kurz osiadzie. Śliczne są też kwiaty z dużych paciorków szklanych, osadzonych na srebrnych łożyczkach. Drzewko z takich gałązek cudacznie powyginanych, przypominające kształtem karłowate drzewka japońskie, ustawione na okrągłej lub owalnej, odbijającej je płycie zwierciadlanej, może stanowić dekorację nawet bardzo elegancko nakrytego stołu.

Zresztą, tych różnych sztucznych kwiatów jest tak ogromna ilość, pomysłowy Paryż przysłała nam coraz nowe wzory, a utalentowana pani Zofja Raczyńska wszystkie je w kraju wykonywała, aby panie domu mogły niemi dekorować swoje wnętrza, nie przekraczając zasady samowystarczalności — że wszyst-

kich wyliczyć nie sposób. Osobisty gust gospodyni powinien ją kierować przy wyborze.

Odświętnem, uroczystem przybraniem stołu pozostaną zawsze kwiaty prawdziwe. Tylko już nie ustawiamy z nich wysokich bukietów, olbrzymich piramid: formujemy niskie wiązanki, układamy je w płaskie patery, aby nie zakrywały biesiadnikom całości stołu i nie przeszkadzały w rozmowie z sąsiadami z przeciwka.

Jednej modzie niepraktycznej — rozrzucaniu świeżych kwiatów po całym obrusie — dużo mam do zarzucenia: plamią one zawsze obrus i najczęściej wędną przed końcem biesiady, a nieraz przeszkadzają przy przestawianiu salaterek i talerzyków, przy wzajemnem podawaniu sosjerek i nalewaniu wina — drobnym uprzejmościom, niezbędnym przy nielicznej i mniej wyrobionej służbie.

Pani Elżbieta.

(d. c. n.)

PRZEPISY GOSPODARSKIE

KABLJAN MARYNOWANY.

Kabljan jest delikatniejszą odmianą dorsza, odznaczającą się jasnoperłowem, na brzuszku prawie białem zabarwieniem skóry. Środkowe dzwono ryby (wagi około 2 kilo) sparzyć lekko i zdjąć zeń zewnętrzną szarą i wewnętrzną białą, bardzo grubą skórę. Pokrajać na szesnaście ładnych, równych, niezbyt grubych kawałków, odrzucając przy tem ość środkową. Osolić na godzinę, poczem utarzać grubo w mące i usmażyć na szmalcu, na maśle z dodatkiem oliwy, na czystej oliwie, lub nawet na bardzo dobrym oleju. Pół kilo marchwi utrzeć na tarce wraz z taką ilością cebuli. Włożyć do rondla, podlać filiżanką wody, pół filiżanką oliwy, osolić, dodać listek, po kilka ziarn pieprzu, ziela, parę goździków. Dusić wolno, na brzegu blachy, żeby do dna nie przyszło. Gdy płyn zupełnie wyparuje, dodać trzy łyżki gęstej lub szklankę rzadkiej konserwy pomidorowej i dwie szklanki octu. Pogotować razem pięć minut. Rybę smażoną ułożyć w głęboką salaterkę, pokryć ostudzoną marynatą i pozostawić w pokoju na całą noc. Nazajutrz wynieść na chłód. Używać najwcześniej we dwadzieścia cztery godziny po zrobieniu. Zimą, w chłodnej szpizarni stać może parę tygodni.

PIECZARKI NA PRZEKASKE.

Kilo młodych pieczarek obetrzeć na sucho z ziemi i kurzu, obcinając starannie nasady korzonków, dopiero potem je umyć. Myjąc pieczarki z ziemią, narażamy się na to, że ziarenka piasku dostaną się pomiędzy listki spodów i będą przy jedzeniu trzeszczały pod zębami. O ile pieczarki są bardzo młode, zbyteczne jest ich obieranie; o ile starsze, należy zdjąć z nich skórkę. Pokrajać na cienkie płatki i, aby zachować ich białość, skropić lekko cytryną. Dwie cebule (15 deka) udusić w piętnastu deka masła, włożyć pieczarki, osolić, popieprzyć lekko, dusić osiem minut od chwili zagotowania. Zasypaną dużą łyżką mąki, wymieszać, wlać szklankę rosółu, smaku z jarzyn lub zimnej wody i pół szklanki dobrej, gęstej śmietany. Zagotować razy parę, mieszając od dna. Powinny być gęste. Przykryć pokrywą i wstawić z rondelkiem do drugiego rondla z gorącą wodą, aby nie ostygły.

Tymczasem wziąć szesnaście czerstwych bułeczek drożdżowych (mogą być malusie kajzerki), ostrą tarką obetrzeć z nich skórki, skrajać wierzchy, łyżeczką stalową do kartofli wydrążyć środki. Zewnątrz i wewnątrz leciutko posmarować nawpół roztopionem masłem, utarzać w utartym ostrymi serze, ułożyć na brytfannie i wstawić w niezbyt gorący piec, aby obeschły i ser nieco się rozpuścił. Tak samo lekko zrumienić pokrywki. Do bułeczek nałożyć pieczarek, przykryć pokrywka-

mi, potrzymać jeszcze minutę w piecu, aby się razem dobrze rozgrzały. Wyłożyć na półmisek, przykryty serwetą, i natychmiast, gorące podawać.

KACZKA NADZIEWANA MAKARONEM.

Piętnaście deka grubego makaronu ugotować niezbyt miękko, odcedzić, pokrajać w centymetrowe kawałki, zmieszać z dziesięcioma deka drobno pokrajanej, przerastającej szynki lub boczku, wbić jajko całe, wsypać łyżeczkę majeranku, osolić do smaku, odrobinę popieprzyć. Nadziać tem kaczkę, otwór zaszyć. Kaczka po oczyszczeniu, opaleniu i umyciu powinna być zewnątrz i wewnątrz osolona i musi poleżeć godzinę. Posmarować kaczkę masłem lub szmalcem i piec, jak zwykle, polewając narazie tłuszczem, który się roztopi, następnie podlać kilku łyżkami wody i polewać sosem, który się uformuje. Gdy miękka, rozebrać ją na części. Makaron ułożyć pośrodku półmiska, a kaczkę wokół. Do sosu, pozostałego na brytfannie, dolać pół szklanki wody i pół szklanki śmietany, zagotować, przecedzić przez sitko i sosem tym polać makaron. Jeśli tego sosu jest dużo, polewają podlać makaron, a drugą podać w sosjerce.

MŁODE GOŁĄBKI PIECZONE.

Młode, tłuste gołąbki napęlić farszem, przyrządzonym z tartej bułeczki, jajek, masła i zielonej siekanej pietruszki. Piec, zawinięte w słoninę, podawać z sałatą zieloną, albo kompotem. Jest to wysmienite, delikatne danie, niedocenione w naszych jadłospisach.

Gołąbki przyrządzać można jeszcze inaczej, a mianowicie: sprawić, wymyć w kilku wodach, osączyć, rozkroić każdą sztukę na dwie równe części (wzdłuż piersi), zbić delikatnie wałkiem drewnianym, wyjąć pogruchotane kości, skropić oliwą i sokiem cytrynowym. Niech tak poleżą kilka godzin. Na pół godziny przed wydaniem osączyć, maczać w rozbitym jajku, obsypywać tartą, osianą bułeczką i smażyć na obfitem maśle na złoty kolor. Podawać z groszkiem zielonym, sałatą, lub poprostu garnirowane smażoną w maśle natką od pietruszki i ćwiartkami cytryny.

SAGO NA KAWIE.

Półtorej szklanki sago ugotować na wrzącej wodzie. Gdy się stanie prawie przezrocyste, odlać na durszlak, przelać zimną wodą. Przełożyć do rondla i zalać półtora szklanką mocnej kawy, ugotowanej z dwóch deka dobrej kawy mielonej, bez cykorji, i półtora szklanką dobrego, parzonego mleka. Jedno i drugie musi być bardzo gorące. Wsypać trzy ćwierci szklanki cukru i całowy kawałek wanilji, utłuczonej z cukrem i przesianej przez sitko. Gotować wolno pod pokrywą, aż masa zgęstnieje. Ostudzić zupełnie. Ułożyć w piramidę na półmisku i pokryć kremem, ubitym z dwóch szklanek słodkiej śmietanki lub młodej śmietany, zaprawionym dziesięcioma deka cukru, utłuczonego z całowym kawałkiem wanilji i przesianego przez sitko.

Dwadzieścia pięć deka masła, dwie szklanki wody zagotować. Na wrzące sypać powoli dwie szklanki najpiękniejszej mąki pszennej, mocno ubijając drewnianą łyżką, aby się nie uformowały kluski. Gotować, wciąż mieszając, aż od rondla odstanie. Odstawić. Gdy ciasto będzie letnie, dodawać doń, po jednym, trzy jaja całe, wciąż doskonale wyrabiając ciasto. Wsypać na koniec noża soli. Formować kulki rozmiaru niedużego, włoskiego orzecha. Smażyć na rozpalonym szmalcu. Po wyjęciu z tłuszczu układać na czystej bibule, poczem przekładać na półmisek i obficie posypywać cukrem, utłuczonym z wanilją i przesianym przez sitko. Podawać do nich oddzielnie konfitury, lub syrop owocowy.

Pani Elżbieta.

DO JAKIEGO PÓJŚĆ KINA
W STOLICY

ŚWIATOWID — kino dźwiękowe, Marszałkowska 111: „Monte Carlo” — reżyserja Ernesta Lubicza. W roli głównej Jeanette Mc. Donald i Jack Buchanan.

STYLOWY — Marszałkowska 112: „Tyranja miłości” — z Lewis Stone, Peggy Wood i Leila Hyaur.

POLA NEGRI PALACE — Plac Teatralny: „Triumf miłości” — w rolach głównych: Charles Rogers, Nancy Carrol. Nad program: Dodatek Fleishera.

UCIECHA — kino dźwiękowe. Złota 72. Film dźwiękowo-śpiewny: „Impresarjo” — z Buster Keatonem w roli głównej.

SPLENDID — Senatorska 29: „Za Oceanem” — z czarującym Maurice Chevalier.

PAN — Nowy Świat 40. Największy film świata: „Indyjski Grobowiec” — Mia May, Conrad Veidt i Lya de Putti.

CAPITOL — Marszałkowska 125. Najlepszy film polski: „Janko Muzykant” — z K. Krukowskim i A. Dymszą.

HOLLYWOOD — teatrzyk dla dzieci, Hoża 29. W niedzielę o godz. 12 m. pop.: „Pan Twardowski na księżycu”.

HOLLYWOOD — kino-teatr, Hoża 29: „Zdrada” — w roli głów. Vivian Gibson i Alfons Tryland. Na scenie rewja: „Ta joj”.

KOMETA — Chłodna 49. „Marsz Radeckiego”: dramatyczny epizod z czasów wojny Austriacko-Włoskiej. Na scenie występy artystów.

ABSOLWENTKA seminarjum ochraniarskiego i kursu świetlicowego szuka posady. Emilja Górecka, Będzin, Ksawerowska 37.

OD ADMINISTRACJI

Przypominamy naszym Czytelniczkom, że:

1. Celem uniknięcia przerwy w wysyłce pisma, należy wpłacać prenumeratę zarosze zgóry.
2. Przy wszelkiej korespondencji z Redakcją lub Administracją w sprawie prenumeraty, zamówień i t. p. prosimy łaskawie załączać znaczki pocztowe na odpowiedź w sumie 50 gr.
3. W razie zmiany miejsca pobytu prosimy o podawanie poprzedniego adresu, pod którym dotychczas otrzymywane było pismo, oraz załączanie 50 gr. na koszty, związane ze zmianą adresu.
4. Celem uniknięcia pomyłek w wysyłce pisma, prosimy o wyraźne i czytelne wypisywanie adresów na przekazach i zamówieniach.
5. Przy przesyłaniu należności prosimy zaznaczać na przekazach cel wpłaty.
6. W razie nieotrzymania któregośkolwiek N-ru, prosimy o zawiadomienie nas o tem najdalej w ciągu tygodnia od daty wyjścia poszczególnego N-ru, ponieważ spóźnionych reklamacyj poczta nie urozględnia.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnoślaska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz”, Warszawa, Rymarska 8.